



Alison Roberts



Samotny ojciec

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siódma trzydzieści rano.

Grubo za wcześnie, by zaczynać pracę. Tego rodzaju robota jest w porządku latem, lecz w temperaturze poniżej zera stopni nie należy do przyjemnych. O tej porze dnia promienie słońca oślepiają ostrym blaskiem, zamiast grzać.

Jeff Simms przyłożył rękę do czoła, chroniąc oczy właśnie przed tym blaskiem, i zerknął w stronę pawilonu z prefabrykatów, który na terenie budowy miał służyć za biuro. Wokół niego zbierali się już robotnicy, zaś jego kolega, Lou, wyskakiwał właśnie z ciężarówki Tomma.

Przynajmniej zdolali dotrzeć do pracy w porę. Dziś szef nie ma powodu, by się krzywić. Może jeszcze nie zdążył wypić kawy? Kawa, pomyślał Jeff. Sam chętnie bym się napił. Wczoraj w pubie on i Lou włali w siebie trochę za dużo piwa.

- Cześć!

- Jak leci, stary? - Jeff uśmiechnął się do Lou.

- Gadałeś już z szefem?

- Nie. Właśnie przyjechałem. Ale ziąb, co? - Jeff oddechem ogrzał ręce i potarł je o siebie.

- Tommo mówi, że będziesz miał za swoje, stary.

- O co chodzi? - Jeff zawiesił spojrzenie na oczach Lou. Może nie powinni byli tak wcześnie iść wczoraj do pubu?

- Nie mógł wieczorem znaleźć piły - oznajmił Tommo ponuro. - Uważa, że ty ją miałeś.

- Owszem - przyznał Jeff. - Musiałem usunąć te podpory na piętrze.

- To gdzie wobec tego zostawiłeś piłę?

Wzrok Jeffa powędrował w stronę rusztowania wokół budynku i zatrzymał się w miejscu, w którym przymocowano schodki. Usiłował sobie przypomnieć, co niósł, gdy schodził na dół. Z jego ust wyrwało się przekleństwo.

- Ona tam została.

Tommo przeklął jeszcze dosadniej.

- No to zamarzła na kość. Aleś się urządził, stary!

- Przykryłem ją brezentem, i dlatego kompletnie o niej zapomniałem.

Zaraz przyniosę.

- Nie. - Lou pokręcił głową. - Nie wolno wchodzić na rusztowanie, póki nie ustąpią mrozy. Szef dostanie szału, jeśli cię tam zobaczy.

- Nie zobaczy. Wejdę od strony szosy.

- Lepiej uważaj, stary. - W głosie Lou zabrzmiała niepewność. - To wszystko jest zmarznięte na kamień.

Siódma trzydzieści pięć.

Joe Petersen bębnił palcami o kierownicę, czekając na zmianę świateł. Musi przejechać przez całe miasto, a w takim tempie zajmie mu to cały dzień. Obiecał przyjechać o ósmej, aby pomóc wyprawić dzieci do szkoły, a potem zawieźć Samanthę do przedszkola. Dayna nie będzie zachwycona, jeśli się spóźni, a on ze swej strony nie miał zamiaru dostarczać jej dodatkowych argumentów potwierdzających jej hipotezę, że brakuje mu podstawowych umiejętności rodzicielskich.

Zerknął wzrokiem w bok, by dać odpocząć oczom zmęczonym blaskiem wschodzącego słońca. Po jego lewej stronie znajdował się duży teren budowy. Ta część Christchurch bardzo się zmieniła, odkąd ostatnio tędy przejeżdżał, ale nic dziwnego. W ciągu minionych pięciu lat wpadał tu tylko na krótko i nie zauważył, że zbudowano w tej dzielnicy sporo apartamentowców. Ten jest zapewne jednym z nich.

Joe przesunął wzrokiem po rusztowaniu. Nieźle oblodzone. Pomyślał, że nie chciałby tu pracować o tej porze roku. Ciekawe, po co ten facet włązi na to rusztowanie, i to w takim tempie...

Kierowca samochodu stojącego za Joem nacisnął klakson, dając mu do zrozumienia, że powinien ruszać. Joe wrzucił pierwszy bieg, lecz ruch, jaki zaobserwował kątem oka, kazał mu ponownie zerknąć na budowę. Chyba noga tego człowieka ześliznęła się z oblodzonego pomostu. Zdołał uchwycić się jednej ze stalowych rur, lecz tylko na moment. Joe z przerażeniem patrzył, jak mężczyzna pikuje w dół. Niemal na własnej skórze odczuł, jak jego plecy uderzają o następną stalową poprzeczkę dwa metry niżej, a potem wygięte w łuk ciało zderza się z twardą ziemią.

Uczucie przerażenia natychmiast zastąpił chłód zawodowca. Uderzenie o rurę mogło spowodować uraz kręgosłupa lędźwiowego. Uszkodzenie odcinka szyjnego w wyniku upadku na głowę może mieć jeszcze poważniejsze skutki. Joe szybko wjechał dwoma kołami na krawężnik i włączył światła awaryjne.

Siódma trzydzieści osiem.

Felicity Munroe zakryła dłonią oczy, chroniąc je przed ostrym światłem słońca. Nie widziała, co dzieje się przed nią, lecz odniosła wrażenie, że dziś samochody posuwają się wolniej niż zwykle. Całe szczęście, że do szpitala nie jest już daleko. Mimo wszystko powinna zdążyć na spotkanie z personelem kardiologii, które wyznaczono na ósmą. Kontakty między kardiologią a oddziałem nagłych wypadków wymagają pilnego omówienia. Nie dalej jak wczoraj pacjent z rozległym zawałem przez skandalicznie długi czas przebywał na nagłych wypadkach, zamiast natychmiast trafić na kardiologię.

W końcu Felicity dostrzegła przyczynę zatoru. Jeden z samochodów zjechał na chodnik, lecz blokował częściowo prawy pas i w konsekwencji hamował ruch. Siedzący za kierownicą mężczyzna włączył światła awaryjne i

usiłował wysiąść. Utrudniały mu to przejeżdżające samochody, których kierowcy trąbili z irytacją, ilekroć mężczyzna otwierał drzwi.

Samochody znowu stanęły, gdy zapaliło się czerwone światło. Jeden z pojazdów kompletnie zablokował zaparkowany samochód, a Felicity zauważyła, że jego kierowca pospiesznie przesuwa się w stronę miejsca dla pasażera. Ona sama znajdowała się dość daleko zatoru, toteż by zająć czymś uwagę i nie denerwować się grożącym jej spóźnieniem, zerknęła w lewo. Od kilku miesięcy obserwowała budowę wielkiego luksusowego apartamentowca; dziś także panował tam ożywiony ruch. Ruch właściwie dość niezwykły, jak na tę porę dnia i roku. Ze wszystkich stron terenu nadbiegali ludzie. Nagle zrozumiała - na ziemi leży człowiek.

Wcale nie potrzebowała lat doświadczeń, by wiedzieć, że wydarzył się wypadek. W ciągu sekundy opuściła swe miejsce na jezdni i wjechała na teren budowy. Po kilku następnych sekundach pochylała się już nad ofiarą. Stwierdziła, że mężczyzna jest młody, przytomny i że oddycha. Przykucnęła przy nim i sięgnęła po jego rękę, by sprawdzić puls.

- Co się stało? - zapytała.

- Proszę go nie dotykać! Proszę odejść!

Głos był na tyle ostry, że Felicity odwróciła wzrok od twarzy rannego, zaś robotnik, który przykucnął obok i zaczął udzielać jej wyjaśnień, gwałtownie się podniósł i zamilkł.

- Jestem pewien, że wszyscy macie jak najlepsze intencje

- odezwał się przybysz - ale w takiej sytuacji laik może zrobić więcej złego niż dobrego. Jestem lekarzem - wyjaśnił wreszcie - i widziałem moment wypadku. - Zmarszczył czoło i niechętnym spojrzeniem obrzucił elegancko ubraną Felicity. - Chyba go pani próbowała przesunąć, prawda?

- Ależ skąd! - Co prawda nie była świadkiem wypadku, lecz nie trzeba być geniuszem, by stwierdzić, że człowiek leżący pod rusztowaniem na pewno z niego spadł. I wcale nie trzeba być lekarzem, by podejrzewać, że tego rodzaju

upadek może wywołać uraz kręgosłupa. Miała zamiar poinformować tego faceta, że jako konsultant na oddziale nagłych wypadków na pewno umie zająć się każdym pacjentem, a także dodać coś uszczypliwie na temat tego, że szanowny pan doktor wyciąga wnioski na podstawie jej wyglądu. Ciekawe, za kogo ją wziął. Czyżby za specjalistkę od spraw urody? Nie zdążyła jednak powiedzieć ani słowa, bo lekarz rozkazywał dalej:

- Proszę się przesunąć. - Szybko zawiesił na szyi stetoskop. - Może jednak zrobi pani coś pożytecznego i przytrzyma głowę tego człowieka? To bardzo ważne, żeby nie poruszał szyją.

Felicity zaskoczyła samą siebie, posłusznie stosując się do zaleceń lekarza. Coś w zachowaniu tego człowieka podpowiadało jej, że w tej chwili lepiej nie wchodzić mu w drogę, a już na pewno nie jest to odpowiedni moment, by zgłaszać zastrzeżenia do jego manier. Zdecydowała, że zaprotestuje dopiero wtedy, gdy uzna to za konieczne. Na razie nie dostrzegała błędów w postępowaniu lekarza.

Teraz ułożył głowę i szyję młodego mężczyzny w pozycji neutralnej, a gdy Felicity unieruchomiła jego głowę, zaczął go szybko badać. Odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziła, że lekarz wie, co robi. Delikatnie uciskając szyję z przodu, sprawdzał odchylenie tchawicy, a gdy ostrożnie dotknął karku robotnika, ten jęknął. Na twarzy lekarza pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Przydałyby się worki z piaskiem - oświadczył. - Albo poduchy. Albo ubrania zwinięte w rulon. Musimy czymś obłożyć szyję. I niech ktoś zadzwoni po karetkę. - Pochylił się nad pacjentem, pozornie nieświadomy faktu, że jego głowa znalazła się bardzo blisko twarzy Felicity. - Jak panu na imię?

- Jeff.

- A mnie Joe. Nazywam się Joe Petersen i jestem neurochirurgiem.

Felicity zamrugnęła. Kto wie, czy ten nieznajomy nie nadaje się lepiej niż ona do ratowania pacjenta z urazem kręgosłupa. Fakt, że nigdy dotąd nie słyszała w szpitalu o lekarzu o tym nazwisku, wcale nie oznacza, że nie jest on

specjalistą. Być może przybył tu z daleka. Istotnie, w jego głosie pobrzmiwał jakiś lekki, nieznaną jej akcent.

- Nie czuję nóg. - W słowach Jeffa zabrzmiał ton paniki. - Będę sparaliżowany?

- A czy ma pan kłopoty z oddychaniem?

- Nie.

Felicity zacisnęła mocniej palce, gdy pacjent spróbował pokręcić głową.

- Żadnych ruchów, Jeff - poprosiła. - To bardzo ważne.

- On nic mi nie powiedział. - Oczy Jeffa i Felicity spotkały się na moment. - Chcę wiedzieć, co mi grozi.

- Jeszcze nic nie wiemy. - Joe włożył słuchawki do uszu i podciągnął do góry sweter Jeffa. - Teraz pana osłucham.

Opuszkami palców Felicity wyczuwała wolniejszy niż zazwyczaj rytm serca. Obserwując, jak Joe szybko przeprowadza badanie klatki piersiowej, podbrzusza i okolic miednicy pacjenta, zastanawiała się, czy zasugerować, że wstrząs neurogeny może czasem wywołać bradykardię. Joe przyłożył dłonie do bioder Jeffa, by sprawdzić stan miednicy. Gdy podniósł głowę, zauważył skoncentrowane spojrzenie Felicity.

- Szukam tak zwanych „ukrytych” zmian - wyjaśnił. - Czyli po prostu urazów.

Zachowała neutralny wyraz twarzy. Znakomicie zdawała sobie sprawę z tego, co Joe robi. To jest nawet dość interesujące, pomyślała, gdy ktoś traktuje cię jak ignoranta. Lub raczej byłoby interesujące, gdyby ton tego faceta nie sugerował, że jej inteligencja pozostawia wiele do życzenia. Uznała, że w tej sytuacji lepiej nie poruszać kwestii wstrząsu.

- Jeśli mamy do czynienia z częściowym paraliżem, wtedy uszkodzenia mogą być ukryte. - Joe fachowymi ruchami badał podbrzusze Jeffa. - To znaczy, że nie powodują bólu. Zwłaszcza niebezpieczne mogą być urazy wewnątrz

klatki piersiowej, które utrudniają oddychanie, lub inne, mogące wywołać krwotok wewnętrzny. Jeff, czujesz, gdzie cię dotykam?

- Nie, nic nie czuję. Czy skręciłem kark?

- Na pewno masz uraz kręgosłupa. Czy możesz ruszać rękami?

- Chyba tak. - Pacjent słabo poruszył palcami. - Ale są jakieś dziwne.

- W jaki sposób „dziwne“?

- Czuję w nich mrowienie.

- A czujesz, że je dotykam? - Joe najpierw musnął opuszki palców Jeffa, a gdy ten nie reagował, lekko je uszczypnął.

- Teraz jakby coś czuję.

- Którego palca dotykam?

- Nie jestem pewien. Środkowego?

Joe zmarszczył czoło i ujął obie dłonie Jeffa.

- Ściśnij mnie za ręce - polecił. - Mocno.

Potem zmierzył puls na nadgarstkach Jeffa i zaczął badać nogi. Gdy poprosił Lou o rozsznurowanie roboczych butów rannego kolegi, Felicity uświadomiła sobie, że nadal wpatruje się w twarz lekarza. Była to inteligentna twarz o nieco surowych rysach i ciemnych brązowych oczach, w których czaiła się posępność. Jego ciemne włosy przybierały miejscami kasztanowy odcień, zwłaszcza gdy padały na nie promienie słońca.

To dziwne, że w takiej chwili zauważam coś takiego, pomyślała i szybko przeniosła wzrok na grupę otaczających ich mężczyzn. Stali w pewnej odległości od rannego, na ich twarzach malował się niepokój.

- Znalazłem worki z piaskiem - oznajmił młody mężczyzna, przebijając się przez zwartą grupę.

Robotnicy odsunęli się, robiąc mu przejście.

- Świetnie, Tommo.

- Wspaniale - dodał Joe, podnosząc się na nogi.

Joe ma zdolności przywódcze, pomyślała Felicity, widząc wyraz zadowolenia na twarzy młodego robotnika.

- Gdzie mam położyć te worki? - spytał Tommo.

- Podać mnie - odparł Joe. - Sam je ułożę.

Po twarzy robotnika przemknął wyraz zawodu, i Felicity skorygowała swą opinię. Joe Petersen ma pewne cechy przywódcze, lecz nie zyska lojalności ludzi, jeśli ich będzie tak lekceważył. Nie trzeba żadnych szczególnych kwalifikacji, by unieruchomić podporami głowę i szyję. Tommo, gdyby mu udzielił kilku wskazówek, z pewnością znakomicie wykonałby to zadanie. Miałby satysfakcję, wiedząc, że naprawdę pomógł, a Joe zyskałby lojalnego asystenta.

Felicity poczuła bijący od worków chłód.

- Proszę dalej trzymać jego głowę - polecił Joe. - Te worki pomogą, ale nie wystarczą. Wspaniale się pani spisuje - dodał łaskawie.

Po raz pierwszy ich oczy się spotkały. Po raz pierwszy także Felicity usłyszała pochwałę z jego ust. Uświadomiła sobie, że oczy ma całkiem ładne, nie dostrzegła w nich jednak ciepła. Pozostaje także faktem, że podczas tych kilku minut, kiedy zajmowali się rannym, nie dostrzegła na twarzy lekarza nawet cienia uśmiechu. Skupił się na swym zadaniu z posępną wręcz intensywnością. Zgromadzonych wokół ludzi traktował jak narzędzia. Pochwalił Felicity i Tomma automatycznie, jakby uznał, że oboje zachowali się zgodnie z jego oczekiwaniami. To śmieszne, pomyślała, że jego słowa ucieszyły mnie tak samo jak przed chwilą ucieszył się Tommo.

W oddali rozległo się wycie syreny. Za chwilę pojawi się tu karetka, pomyślała, a w niej znajdą się sanitariusze, którzy z pewnością ją rozpoznają. To może być całkiem interesujące - zobaczyć, jak Joe zareaguje na wiadomość o jej kwalifikacjach. Była także ciekawa, jak Joe potraktuje personel karetki. Lekarze nie mający bezpośredniego kontaktu z załogami ambulansów często arogancko zakładają, że ratownicy medyczni to po prostu kierowcy.

Pierwsze zaskoczenie pojawiło się w chwili, gdy Joe wstał, by przywitać się ze Stanleyem Ferrisem, szefem grupy ratowników.

- Nazywam się Joe Petersen. Jestem neurochirurgiem - oznajmił szorstko.
- A to jest Jeff. Ma dziewiętnaście lat i spadł z tego rusztowania, z wysokości mniej więcej piętnastu metrów.

Stanley zerknął w górę, robiąc taką minę, jakby starał się ocenić zakres urazów.

- W połowie drogi uderzył się o barierkę, na czym ucierpiał kręgosłup w odcinku lędźwiowym. A potem wylądował na głowie, powodując uraz kręgosłupa szyjnego. Przytomność w skali Glasgow maksymalna. - Joe zerknął na drugiego z ratowników. - Czy możecie mu założyć kołnierz ortopedyczny? Dzięki. No i podajcie mu tlen. - Z powrotem przeniósł wzrok na Stanleya. - Jeff ma bóle w odcinku szyjnym między C5 i C7, uraz średniego stopnia w okolicach potylicy. Paraliż obu kończyn, parestezja oraz niedowład ramion i dłoni. Klatka piersiowa i podbrzusze czyste, oddech przeponowy. Bradykardia, puls pięćdziesiąt pięć, podejrzewam hipotermię. Ziemia jest zmrożona na kość, a od chwili wypadku upłynęło już prawie dziesięć minut.

Stanley kiwał głową, potwierdzając, że nadaża za relacją lekarza. Felicity była pod wrażeniem zwięzłości oceny stanu pacjenta, lecz jeszcze bardziej zdumiał ją stosunek Joego do Stanleya. Zakładając, że ma do czynienia z fachowcem, Joe potraktował ratownika jak kolegę, i to inteligentnego.

- Potrzebujemy kocy - ciągnął Joe. - Najlepsza byłaby folia, jeśli macie. Mamy do czynienia z poikilotermią.

Felicity uniosła brwi, Stanley też. No cóż, chyba jednak Joe nie traktuje go jak kolegi. Czy ratownik może wiedzieć, że „poikilotermia” oznacza, że ciało przyjmuje temperaturę otoczenia? Być może Joe celowo używa słów nieznanymi personelowi medycznemu, by zademonstrować swą wyższość.

- Musimy jak najszybciej podnieść go z ziemi - ciągnął Joe. - Macie deskę czy nosze?

- Jedno i drugie. - Stanley zerknął na Jeffa i wreszcie zauważył Felicity. Ze zdumienia otworzył szeroko oczy. Felicity uśmiechnęła się w sposób dający mu do zrozumienia, by się nie przejmował jej obecnością, toteż ratownik zachował się dyplomatycznie. - Składane nosze umożliwią przeniesienie go niemal bez zmiany położenia, ale są zimne. A jeśli wtoczmy go na deskę, będzie pan miał szansę sprawdzenia dolnego odcinka kręgosłupa.

- Co jest szybsze?

- Chyba nosze.

- Wobec tego zgoda.

Joe patrzył, jak Stanley i jego partner Ray przedstawiają się Jeffowi i wyjaśniają mu, co mają zamiar zrobić. Potem odsunęli worki z piaskiem i założyli pacjentowi kołnierz.

- Weź ręcznik. - Stanley zwrócił się do Raya. - Podłożymy go pod głowę, żeby zachować neutralne ułożenie ciała. I wyjmij nosze. Ja w tym czasie szybko zmierzę mu ciśnienie.

Stanley owinął mankiet na ramieniu Jeffa, Ray zaś wyjął metalowe nosze z tylnej części ambulansu. Gdy Joe pomagał mu je rozłożyć, Stanley popatrzył na Felicity.

- On wie, kim jesteś?

- Nie. - Po jej twarzy przemknął uśmiech. - Nie miałam okazji się przedstawić.

- Hm. - Tym chrząknięciem Stanley przyznał, że i on zauważył w doktorze Petersenie cechy władcze. - Ale przynajmniej wie, co gada.

Felicity kiwnęła głową i roztarła dłonie. Były zimne i sztywne po wielu minutach przytrzymywania głowy pacjenta.

- No to chyba was zostawię - zwróciła się do Stanleya. - Jestem spóźniona, a doktor Petersen na pewno wam pomoże.

Stanley wyjmował właśnie kroplówkę. Po kilku sekundach wenflon znalazł się już w ręce Jeffa. Joe zmarszczył brwi, gdy stwierdził, że ratownik zrobił coś bez uzgodnienia z nim, i położył na ziemi swą połówkę noszy.

- Ciśnienie osiemdziesiąt pięć na sześćdziesiąt - poinformował go Stanley.
- Nie podam mu żadnych płynów, jeśli ciśnienie skurczowe nie spadnie poniżej osiemdziesięciu.

Joe kiwnął głową i Felicity zauważyła, że jest zadowolony. Niskie ciśnienie przy urazie kręgosłupa jest wynikiem raczej rozszerzenia naczyń krwionośnych niż utraty krwi. Dopóki ciśnienie skurczowe przewyższa ciśnienie filtracyjne nerek, wynoszące osiemdziesiąt milimetrów słupa rtęci, nie stosuje się podawania płynów dożylnie, bo mogłoby to spowodować komplikacje na skutek nadmiernego nawodnienia.

Joe zerknął na zawartość leków w torbie Stanleya.

- Czy może pan podać dawkę uderzeniową metyloprednisolonu?
- Nie. - Stanley potrząsnął głową. - Nasze przepisy na to nie zezwalają.
- Stosuje się to w niektórych częściach Stanów. - Joe powtórnie zmarszczył czoło. - Czy macie specjalistyczny oddział, na który można by go przewieźć?

- Zawieziemy go na nagłe wypadki w głównym szpitalu. To tylko pięć minut stąd. Ustabilizują go, a potem przewiozą na oddział specjalistyczny. Taki przewóz potrwa około godziny. - Stanley spojrzał na Felicity, jakby sugerując, że teraz mogłaby się przedstawić, ona jednak nie uznała tego za konieczne.

- To ja już pojedę - oznajmiła. - Chyba że jestem jeszcze do czegoś potrzebna.

- Ależ skąd! - Joe sprawiał wrażenie lekko zdumionego jej propozycją. - Mamy tutaj mnóstwo chętnych do pomocy. Dziękuję pani.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

W drodze do samochodu zerknęła przez ramię. Pod ciało Jeffa właśnie wsuwano obie części noszy. Gdy obie połowy się połączyły, pacjenta

umocowano pasami. Wszystko odbyło się sprawnie i szybko. Pomyślała, że wkrótce zobaczy Jeffa w izbie przyjęć. I zapewne będzie mu towarzyszył ów neurochirurg, który chce do końca panować nad wydarzeniami.

Pokręciła głową, włączając się w ruch. Być może powinna była się przedstawić i dać mu do zrozumienia, że nie jest tylko dodatkową parą rąk do pomocy. To trochę niedojrzałe obrażać się, gdy ktoś sugeruje, że nie wiesz, co robisz. Joe nie sprawiał wrażenia człowieka, który by się domyślał jej kwalifikacji, niemniej zabolął ją sposób, w jaki ją potraktował. Długo i ciężko pracowała, by zdobyć swą pozycję. To, że zlekceważył ją, zapewne na podstawie jej wyglądu, teraz bardzo ją zirytowało. W tej chwili już żałowała, że wówczas postanowiła zachować anonimowość. Rozmowa z nim mogłaby być ciekawa. Mogłaby się na przykład dowiedzieć, jak wygląda ratownictwo medyczne w Stanach. Światła się zmieniły i ruszyła przed siebie z westchnieniem. Teraz już za późno. Najlepiej zapomnieć o całym tym wydarzeniu.

Nie było to jednak łatwe. Epizod ten pozostawił w jej pamięci trwałe ślady i gdy spotkanie na kardiologii dobiegło końca, ponownie zaczęła rozmyślać o Joem. Stał przed jej oczami jak żywy, gdy jakiś czas później zobaczyła Stanleya i Raya, którzy przywieźli następnego pacjenta. Poczekala, aż przekażą go pielęgniarce, po czym do nich podeszła.

- Wspaniale się dziś spisaliście przy tym pacjencie z uszkodzonym kręgosłupem - powiedziała.

- Dzięki - odparł ciepło Stanley. - Byłem zdziwiony, kiedy i ciebie tam zobaczyłem, Fliss.

- Właśnie przejeżdżałam. Ale szybko stałam się niepotrzebna. - Uśmiechem starała się ukryć rozczarowanie przebiegiem wydarzeń tego ranka. - A jak wam poszło? Czy doktor Petersen pojechał z wami?

- Na szczęście nie. - Stanley uśmiechnął się szeroko.

- Pewnie narzekałby na każdą dziurę w drodze. On chyba trochę przesadza, co?

- Wie, co robi. Chce, żeby wszystko poszło jak najlepiej.

- Zaskoczyło ją, że tak gwałtownie broni Joego, choć z drugiej strony byłoby rzeczą nieprofesjonalną, gdyby w rozmowie ze Stanleyem narzekała na innego lekarza, mimo że znają się od dawna i uważa Stanleya za fachowca. - Jeff miał szczęście, że trafiła mu się tak znakomita pomoc. Sądzę, że doktor Petersen jest u nas tylko gościem. Chyba mieszka w Stanach...

- Mieszkał w Stanach, ale przeniósł się do Nowej Zelandii. - Wyjął z kieszeni kartkę. - Dał mi swój numer telefonu. Poprosił, żeby go zawiadomić o losach tego pacjenta, jeśli się da.

- Aha. - Felicity stłumiła w sobie dziwną myśl, że sama mogłaby w tej sprawie skontaktować się z Joem.

- On szuka pracy - ciągnął Stanley. - Pogadaliśmy chwilę, kiedy zapisywał mi ten numer. Chyba skończył w Stanach jakieś studia podyplomowe i wrócił tu z powodów rodzinnych. Chciałby dostać pracę u nas albo na urazach kręgosłupa.

- To dziwne, przenosić się do innego kraju bez załatwienia sobie pracy - zauważyła. - I trochę ryzykowne, zwłaszcza w przypadku konsultanta. Czy wyjaśnił, co to są te powody rodzinne?

- Nie, ale to chyba coś ważnego. Bardzo się zaczął spieszyć, kiedy już załadowaliśmy Jeffa. Powiedział, że nie chce sprawić zawodu córce. - W tej chwili odezwał się pager Stanleya, a w sekundę później pager Felicity.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Nie ma odpoczynku dla grzeszników. Do zobaczenia, Fliss.

- Cześć, Stan.

Ruszyła w stronę telefonu stojącego na biurku dyżurnej pielęgniarki. Poranne wydarzenie stanowiło interesujący epizod, a teraz należy zająć się pracą. Stana na pewno zobaczy już wkrótce, Joego Petersena zaś może nie

spotka już nigdy. Trudno. Przyjemnie byłoby mu powiedzieć, z kim miał do czynienia. W tym celu wystarczyłoby wziąć od Stana numer telefonu pod pretekstem przekazania informacji o stanie tego pacjenta. No więc jak? Uznała w końcu, że nie ma sensu odnawiać znajomości z doktorem Petersenem. Ten wypadek i ta historia należą już do przyszłości.

Właściwie to nawet nie była pewna, czy by go poznała, gdyby przypadkiem znów go zobaczyła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rozpoznała go jednak natychmiast, i to z daleka. Właśnie przechodziła przez podwójne drzwi, które oddzielały oddział nagłych wypadków od głównej części szpitala Queen Mary.

Joe stał przy łóżku w kabinie numer trzy. W głowach łóżka siedziała mała dziewczynka o rudych, kręconych włosach. Mimo odległości Felicity zauważyła, że dziewczynka stara się ukryć strach, zagubienie i zapewne ból.

Felicity zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku głównego biurka.

- Kto jest w trójce, Mike?

Przełożony pielęgniarek rozmawiał właśnie ze starszym konsultantem Garethem Harveyem, który szukał jakiejś informacji w komputerze.

- Samantha Petersen. Cztery lata. Chyba złamanie typu zielonej gałazki lewej kości promieniowej.

Felicity skinęła głową. A więc to córka doktora Petersena. Owa część rodziny, która niejako ściągnęła Joego do Christchurch.

- Czy przywiozła ją karetka?

- Nie. Przywiózł ją ojciec kilka minut temu. On chyba jest lekarzem. -
Mike uniósł brwi i odwrócił wzrok od ekranu, najwyraźniej zaintrygowany faktem, że jego konsultantka interesuje się tak błahym przypadkiem.

- Znasz go? - zapytał z ciekawością Gareth.

- Poznaliśmy się. - Wzrok Felicity przesunął się na tablicę. Ramka obok trójki była jeszcze pusta.

Mike zrozumiał jej nieme pytanie.

- Zajmie się nią Mary, a później Colin.

Oczy Felicity powędrowały w innym kierunku. Pielęgniarka imieniem Mary wypychała właśnie stojak do kroplówek z kabiny szóstej, toteż jeszcze nawet nie wiedziała o swym nowym zadaniu. Felicity wiedziała także, iż doktor Colin White jest nadal zajęty w sali obserwacyjnej, skąd przed chwilą sama przyszła. W tej sytuacji Petersenowie jeszcze czekają.

- Pójdę do nich, Mike. Mam chwilę czasu, chyba że wydarzy się coś nieprzewidzianego.

- Na razie panuje względny spokój. Mają przywieźć z miasta kogoś z zawałem, ale dopiero za jakieś dwadzieścia minut.

- Dobrze. - Felicity kiwnęła głową. - To nie powinno potrwać długo.

Energicznym krokiem ruszyła w kierunku wydzielonego parawanami pomieszczenia. To nie powinno potrwać długo, ale na pewno będzie ekscytujące. Weszła do środka i zasunęła zasłonkę, by stworzyć bardziej przyjazną atmosferę.

- Cześć, kochanie - powiedziała i uśmiechnęła się do dziecka, które w prawej ręce ścisnęło miękką zabawkę, przypominającą pluszowego pieska. - Jak masz na imię?

Usta dziewczynki mocno się zacisnęły, lecz jej broda lekko drżała. Na Felicity spojrzały duże, przestraszone oczy o orzechowej barwie.

- Powiedz siostrze, jak się nazywasz, Samantho. - Rozkaz ten został wydany łagodnym głosem, lecz w jego efekcie oczy dziewczynki wypełniły się łzami.

Felicity zerknęła na Joego. Siostra, też coś. To spotkanie będzie jeszcze bardziej fascynujące, niż przypuszczała. Ponownie uśmiechnęła się do córki Joego.

- Ja mam na imię Fliss - powiedziała. - Chodzisz do szkoły, Samantho?

- Ona jest za mała na szkołę. Chodzi do przedszkola - odezwał się Joe bezbarwnym głosem. Felicity domyśliła się, że ją rozpoznał. Teraz jego mózg przetwarza informacje, zapewne analizując ich spotkanie podczas ratowania tego pacjenta z urazem kręgosłupa. Może Joe właśnie zastanawia się, czy przypadkiem jej nie obraził, nie poznając się na tym, że jest pielęgniarką. Pielęgniarką, ha! Powstrzymała uśmiech.

- Czy w przedszkolu mówią do ciebie Samantha, kochanie?

Tym razem Felicity została nagrodzona ledwo widocznym ruchem głowy. Przeczącym.

- To jak cię nazywają? Sam? Sammie?

Teraz dziewczynka lekko kiwnęła głową. Felicity zrobiła taki sam ruch i przysiadła na brzegu łóżka.

- A jak wolisz? Sam czy Sammie?

- Sam - wyszeptała dziewczynka.

Felicity zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu:

- A czy ja mogę do ciebie mówić Sam?

- Tak... - Znowu szept.

- Świetnie. - Felicity mrugnęła do dziewczynki. - Ja będę do ciebie mówić Sam, a ty do mnie Fliss. Umowa stoi?

Warto było zabiegać o taki uśmiech. Rozjaśnił on bladą malutką twarzyczkę dziecka niczym słońce. Skóra Sam była upstrzona piegami podobnymi barwą do pięknych złotorudych loków. Felicity oceniła także stan

psychiczny dziecka, oddech, a także dostrzegła lekką, lecz oczywistą deformację lewej ręki, która bezwładnie leżała na kolanach małej. Prawą ręką dziewczynka nadal ścisnęła pluszową zabawkę.

- Jak to się stało, że uderzyłaś się w rękę?

- Ja... spadłam z huśtawki. - Dziewczynka powędrowała wzrokiem w kierunku ojca i to dało Felicity do myślenia.

Czy Sam boi się udzielić niewłaściwej odpowiedzi? Czy boi się ojca?

- Za słabo się trzymałam - dodała dziewczynka i po jej piegowatym policzku popłynęła olbrzymia łza.

- To był wypadek. - Czyżby Joe Petersen był zirytowany zachowaniem dziecka i koniecznością odbycia podróży do szpitala? Bez względu na przyczyny, jakie nim powodowały, przybrał niewłaściwy ton. W takiej sytuacji rodzice na ogół zupełnie inaczej traktują dzieci. Felicity zdążyła już zauważyć, że między ojcem a córką nie ma żadnego kontaktu fizycznego. Co tu się dzieje?

- To nieważne, jak to się stało - powiedziała łagodnie, zwracając się do Samantha. - Ważne jest, żebyśmy złożyli ci rękę. Czy teraz cię boli?

Dziewczynka kiwnęła głową.

- Czy uderzyłaś się w głowę, kiedy spadałaś?

- Nie straciła przytomności - wtrącił Joe. Felicity go zignorowała.

- Czy jeszcze coś cię boli, Sam?

- Nie - odparł ojciec w imieniu córki.

Znowu! Felicity głęboko odetchnęła, by nie stracić zawodowego opanowania.

- Wydaje mi się, że Sam potrafi lepiej odpowiedzieć na to pytanie niż pan.

Mięsień w twarzy mężczyzny drgnął, zdradzając niedowierzanie, które usiłował ukryć tonem głosu.

- Uważam, że córka ma złamanie podokostnowe lewej kości promieniowej. Może zrobiłaby pani to, co przewiduje w takich okolicznościach

procedura, a potem wezwałaby pani lekarza, który przepisałby konieczne środki przeciwbólowe i zaordynował leczenie.

Felicity odważnie wytrzymała jego wzrok.

- Tak się składa, że ma pan do czynienia z lekarzem. Jestem na tym oddziale konsultantem. - Urwała na chwilę, by przyswoił sobie zasłyszane wieści, po czym dodała nieco uszczypliwie: - I proszę się nie martwić, panie Petersen. Nawet jeśli nie jestem neurochirurgiem, to i tak wiem, co robię.

Odwróciła się do dziewczynki, zadowolona, że na twarzy Joego pojawił się wyraz zdumienia i konsternacji.

- Wiem, kochanie, że ręka bardzo cię boli, ale mimo to chciałabym, żebyś poruszała palcami. Mogłabyś spróbować?

Ruch palców był bardzo nieznaczny, lecz Felicity się uspokoiła.

- Świetnie, Sam. Fantastycznie. A teraz ostrożnie potrzymam cię za rękę. Czy czujesz, że dotykam twoich palców? - Dziewczynka skinęła głową, a Felicity zanotowała w pamięci temperaturę i barwę skóry jej dłoni. - Dobrze, a teraz spróbuj ścisnąć moje palce.

Felicity przeprowadziła tę samą procedurę ze zdrową ręką Sam, cały czas czując na sobie spojrzenie Joego. Na koniec zbadała tętno w obu nadgarstkach i podniosła głowę.

- Nie ma zaburzeń neurologicznych ani krążeniowych. To dobrze.

- Dlaczego mi pani nie powiedziała tego wcześniej?

- Bo wcześniej nie przeprowadziłam koniecznych badań. - Uległa pokusie, by udąć, że go nie rozumie.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani wcześniej, że jest lekarzem?

- Przecież jestem tu dopiero od kilku minut.

- Nie mówię o dzisiejszym dniu. Mówię o dniu w zeszłym tygodniu. - Ton doktora Petersena sugerował, że nie zachwyca go ta słowna szermierka.

Felicity wzruszyła ramionami, jakby uważała sprawę za mało ważną.

- Nie przypominam sobie, żebym miała sposobność - rzekła z namysłem. - Panował pan nad sytuacją, a poza tym - dodała już złośliwie - stabilizowanie głowy i szyi pacjenta z urazem kręgosłupa to naprawdę bardzo odpowiedzialne zadanie.

Odwróciła głowę do dziewczynki.

- A teraz zrobimy takie specjalne zdjęcie twojej ręki - wyjaśniła. - Rentgenowskie. Dzięki niemu będziemy mogły zajrzeć do środka ramienia. Czy wiesz, co tam jest?

Samantha potrząsnęła głową, w jej dużych oczach ponownie pojawił się lęk.

- Nie ma się czego bać - zapewniła ją Felicity. - Rentgen nie boli. To jest taki specjalny aparat, który widzi to, czego nie widzimy my. Kości. Te twarde części w środku naszych rąk i nóg.

Zastanawiała się, czy ryzykować założenie dziecku kroplówki, przez którą można by podać środek przeciwbólowy, zważywszy, że założenie kroplówki jest zawsze stresujące, a uwagę Sam łatwo dawało się odwrócić od bolącej ręki. Ponieważ mała znów wyglądała tak, jakby miała się rozplakać, Felicity postanowiła jeszcze przez chwilę zająć ją czymś innym.

- Czy twój piesek jakoś się nazywa?

- Snowy - odparł lakonicznie Joe.

Felicity spostrzegła wyraz twarzy Sam i westchnęła w duchu. Uwagę dziecka można w jakiś sposób odwrócić od bólu, ale denerwowanie go w niczym nie pomoże. A może powinna okazać się bardziej dociekliwa i spróbować odkryć, na czym polega problem w relacji między tym ojcem a córką. Atmosfera stawała się coraz gęstsza.

- On wygląda dość szczególnie - zwróciła się Sam. - Naprawdę nazywa się Snowy?

Samantha powoli pokręciła głową. Po jej policzku spłynęła najpierw jedna łza, a potem druga.

- On nie nazywa się Snowy - rzekła, łkając. - On nazywa się Puf Puf Snowball.

Felicity zagryzła wargi. Kątem oka dostrzegła grymas na twarzy Joego i z trudem oparła się pokusie, by się roześmiać. Neurochirurg sprawiał wrażenie bardzo zawstydzonego dziecięcym imieniem pieska.

- Puf Puf Snowball - powtórzyła Felicity z zachwytem.

- Co za wspaniałe imię. - Przyjrzała się zabawce uważniej.

- Trochę jest teraz brudny, prawda? Czy też spadł z huśtawki?

Samantha kiwnęła głową.

- A jak myślisz, czy coś sobie zrobił? Dziewczynka pokręciła głową. Łzy już wyschły i mała próbowała się uśmiechnąć.

- Chyba tylko się pobrudził.

- Może trzeba go wykąpać.

- Nie wolno mi się kąpać z pluszowymi zabawkami. Mama mówi, że za długo schną.

- Aha - rzekła Felicity zdawkowo i zaczęła studiować kartę choroby dziewczynki. A więc jest i matka. Zapewne żona Joego. Może są też bracia i siostry. Cała rodzina, łącznie z bystrym, puszystym psem. - A masz w domu prawdziwego psa?

- Nie. Mama nie lubi psów.

- Aha. - Felicity szybko wpisywała swe uwagi. - A tata lubi psy?

- Nie wiem.

Tym razem Felicity nie potrafiła ukryć zdumienia. Jakim cudem Samantha nie wie, czy jej ojciec lubi psy czy nie? Joe zmarszczył czoło.

- Oczywiście, że lubię psy, Sam.

Felicity usiłowała odsunąć na bok myśli, które przychodziły jej do głowy, wpisując do karty nazwy środków przeciwbólowych i wypełniając skierowanie na prześwietlenie. Nad tym musi się trochę zastanowić. Wstając, uśmiechnęła się ciepło do dziewczynki.

- Ja też lubię psy - powiedziała. - I mam w domu prawdziwego psa. To jest irlandzki seter i nazywa się Rusty. - Uśmiechnęła się szerzej. - Może teraz zacznę go nazywać Puf Puf Rusty.

Dziewczynka zachichotała. Ta spontaniczna radość małej sprawiła, że Felicity wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła ją po włosach.

- Rusty ma ciemny kasztanowy kolor - wyjaśniła. - A na ogonie ma długie włosy, trochę jaśniejsze. Na końcach są zupełnie takie jak twoje.

Samantha sprawiała wrażenie zachwyconej tą informacją.

- Tata czasami nazywa mnie Nas... Nas... - Chwilę szukała słowa. - Nastagmus - wymówiła w końcu triumfalnie. - Mówi, że moje włosy to mu przypominają.

- Naprawdę? - „Nystagmus” to rzadko używany termin, oznaczający oczopląs. Napotkała spojrzenie Joego i zauważyła na jego twarzy zmęczony uśmiech.

- Ona chciała powiedzieć nasturcja...

- Aha. - Felicity uśmiechnęła się szeroko. Uwielbiała takie dziecięce przekręcanie słów, choć starała się nie okazywać wtedy rozbawienia. W tej chwili trudno jej było ukryć zachwyt, a znakomicie zdawała sobie sprawę z tego, że pomyłka Sam tylko częściowo wprowadziła ją w taką radość.

Grymas na ustach Joego po raz pierwszy przypominał uśmiech i efekt tego był niesamowity. Rysy jego twarzy złagodniały, wokół oczu pokazały się mimiczne zmarszczki. Jego oczy miały taki sam ciemny odcień jak Samanthy. W gruncie rzeczy córka była bardzo podobna do ojca i choć odnosili się do siebie w bardzo dziwny sposób, trudno było wątpić o łączącej ich genetycznej więzi.

Może zresztą i w ich relacji nie było także nic dziwnego. Na widok uśmiechu ojca twarz Sam rozjaśniła się i spojrzenie, jakie wymienili ojciec z córką, sugerowało prawdziwą bliskość. Pojawiło się tam nawet ciepło. Przez

głowę Felicity przemknęła niepokojąca nieco myśl, że bardzo by się ucieszyła, gdyby ten mężczyzna spojrział na nią w taki właśnie sposób.

Pożegnała się z nimi i szybko wyszła. Nie miała czasu, by analizować zawilości w relacjach w tej konkretnej rodzinie, a już z pewnością nie chciała, by rozpraszały ją jakieś odczucia wobec Joego. Czekają na nią inni pacjenci.

Jak na przykład ten człowiek zagrożony atakiem serca, którego przed chwilą przywieziono. Geoffrey Pinnington miał czterdzieści lat, był farmerem i mieszkał na północ od Christchurch.

- Od samego rana czuję drętwienie - wyjaśnił, odpowiadając Felicity na pierwsze pytanie. - Pomyślałem sobie, że może naciągnąłem mięsień, kiedy przenosiłem siano. A kiedy zjadłem lunch, poczułem się okropnie. Zlałem się potem, zwymiotowałem cały lunch i zaczął się ten okropny ból.

- Gdzie?

- Tu. - Geoffrey przyłożył zamasztyłym ruchem rękę do klatki piersiowej. Pielęgniarka robiąca mu właśnie EKG szybko poprawiła przesuniętą elektrodę.

- Proszę przez chwilę się nie ruszać, panie Pinnington - poleciała surowo.

- Czy ból ograniczał się do jednego miejsca? - zapytała Felicity.

- Nie. Przeszedł potem na szyję, a potem na całą lewą rękę.

- W skali zero do dziesięciu, kiedy zero oznacza brak bólu, w dziesięć najgorszy ból, ile punktów by pan mu dał?

- Dwanaście. - Pacjent uśmiechnął się posępnie. - Nigdy w życiu nie czułem się tak źle. Myślałem, że niedługo umrę.

Felicity ze współczuciem pokiwała głową. Uczucie zbliżającego się końca jest powszechnym objawem towarzyszącym zawałowi serca.

- O której godzinie wystąpił ten ból?

- Około pierwszej. Może kwadrans po.

- Dobrze. - Zerknęła na zegarek.

Prawie trzy godziny temu. A więc nie jest za późno na zastosowanie plastyki naczyniowej, która w pewnym stopniu odwróciłaby uszkodzenia spowodowane przez blokadę w przepływie krwi.

- Zadzwoń na kardiologię - zwróciła się do młodszego rangą lekarza, studiując szybko wykres EKG. - Powiedz im, że mamy tutaj przypadek trwającego zawału przedniej ściany. - Spojrzała na młodą lekarzkę stażystkę, która pobierała Geoffreyowi krew. - Sarah, niech zbadają enzymy serca, zrobią pełną morfologię, elektrolity i lipidy. - Ponownie przeniosła wzrok na pacjenta. - A teraz bardzo boli?

- Nie. Internista dał mi dobre prochy.

Kiwnęła głową. W drodze do sali reanimacyjnej zdążyła przeczytać raport z karetki. Po trwającej pół godziny jeździe do lekarza rodzinnego Geoffrey otrzymał pomoc w postaci tlenu, środków przeciwbólowych i przeciwwymiotnych, aspiryny oraz nitrogliceryny. Potem lekarz rodzinny wezwał karetkę i kazał przewieźć pacjenta do szpitala. Lekarz ten dołączył także do swej notatki krótką historię chorób pacjenta, która nie zawierała czynników ryzyka dotyczących chorób serca. Felicity wołała jednak się upewnić.

- A więc dotąd nie miał pan problemów z sercem?

- Nie.

- Czy jest pan na coś leczony?

- Nie, na nic.

- Ciśnienie było zawsze w porządku?

- O ile mi wiadomo...

- Czy badał pan cholesterol?

- Wyniki zawsze były w normie. Jestem zdrowy i silny, i chyba dużo za młody na zawał, prawda, pani doktor?

- Niestety, od reguł zawsze są wyjątki. Czy w pana rodzinie występowały choroby serca?

- Wydaje mi się, że mój ojciec ma czasem bóle w klatce piersiowej. On jest twardy i do niczego się nie przyzna, ale czasami widzę, jak pociera pierś i twarz mu się robi taka szara.

- Czy pan pali?

- Kiedyś paliłem. Rzuciłem to dwa lata temu.

- I całe szczęście.

Teraz Felicity miała już dość informacji, by przekazać pacjenta prosto na kardiologię. Podstawowe badania zostały przeprowadzone przez personel sali reanimacyjnej. Kiedy usłyszała, że za jej plecami rozsuwa się zasłona, spodziewała się ujrzeć lekarza z kardiologii. Tymczasem do sali weszła kobieta z dwójką dzieci.

- Przepraszam, Geoff - powiedziała. - Nie mogłam jechać tak szybko jak karetka. Jak się czujesz?

- Nie tak źle, kochanie. Nie martw się.

Uśmiechnął się do żony i puścił oko do liczącego dziesięć lat synka, który jednak zamiast na ojca, patrzył szeroko otwartymi oczami na monitory. Młodsze dziecko, dziewczynka o zalanej łzami twarzy, ścisnęła kurczowo rękę matki i wpatrywała się w ojca.

- Już wszystko dobrze, maleńka - rzekł Geoffrey łagodnie. - Tatusiowi nic nie będzie. - Wyciągnął rękę, która nie była podłączona do kroplówki, dziewczynka zaś przemknęła obok pielęgniarki i przytuliła się do piersi ojca. Pani Pinnington także przysunęła się do łóżka i położyła dłoń na nodze męża. Felicity patrzyła zauroczona, jak rodzina zbiera się blisko siebie, przygotowana na wszystko. W pewnej chwili pochwyciła pytające spojrzenie żony Geoffa.

- Chyba zawał - wyjaśniła. - Idzie już do niego kardiolog i wkrótce zostanie podjęta decyzja o dalszym postępowaniu. Dzięki temu, że zawiozła pani męża do lekarza, możemy szybko rozpocząć leczenie i zminimalizować skutki zawału.

W tej właśnie chwili do sali weszła kardiolożka. Przejęła ona opiekę nad pacjentem, słuchając informacji przekazywanych przez Felicity. Potem wyjaśniła Geoffreyowi, na czym polega mechanizm zagrażający jego życiu, po czym przystąpiła do opisu metod leczenia. Geoffrey słuchał jej uważnie. Córka nadal stała przytulona do jego piersi, on zaś głaskał ją po włosach. Były jasne i proste, zupełnie inne niż włosy Sam.

Mając do wyboru terapię lekami i bardziej inwazyjną, lecz szybszą i na ogół skuteczniejszą plastykę naczyniową, państwo Pinnington zdecydowali się na to drugie. Gdy personel zaczął przygotowywać Geoffreya do przewiezienia na piętro, Felicity opuściła salę.

Ponieważ nie miała nic pilnego do zrobienia, podeszła do dystrybutora i naląła sobie kubeczek zimnej wody. Pijąc ją powoli, rozglądała się nieobecny wzrokiem po pomieszczeniu, myśląc o Geoffreyu i jego córce. A raczej o relacji między nimi oraz tym, że tego rodzaju bliskości nie zauważyła w przypadku Sam i jej ojca.

Czasami groźne otoczenie szpitalne sprawia, że ludzie zachowują się inaczej niż normalnie, Joe jednak był lekarzem. W szpitalu powinien czuć się jak ryba w wodzie i mieć mniejszy problem niż inni z uspokojeniem swojego dziecka. Obserwując ich, trudno było uwierzyć, że to ojciec i córka. Panowało między nimi takie napięcie, jak w sytuacji, gdy przypadkowy opiekun musi sobie poradzić z niespodziewanym wypadkiem dziecka. Opiekun, który ma z dzieckiem bardzo ograniczony kontakt.

Felicity zgmiotła plastikowy kubek i wrzuciła go do kosza. Może Joe jest ojcem, któremu nie wolno zawracać głowy i zostawia wychowanie dziecka żonie. Albo może z powodu tego wypadku nie mógł się stawić na bardzo ważne spotkanie. Ale czy to w końcu ma znaczenie? Przecież to nie jej sprawa.

- Idę do gabinetu - zwróciła się do Mike'a. - Mam trochę zaległej roboty papierkowej. Wezwij mnie w razie czego.

W drodze do gabinetu, który znajdował się w głównej części budynku, Felicity minęła magazynek, pomieszczenie sterylne oraz pokój dla rodzin pacjentów. Widząc, że z sali dla pacjentów będących na obserwacji sanitariusz wypycha łóżko, przystanęła na chwilę i w efekcie rozpoznała głosy dochodzące z pokoju dla rodzin. Lub przynajmniej jeden...

- Na litość boską, Joe! Nie pojmuję, jak to się mogło stać!

Joe był na granicy wyczerpania. Ten dzień okropnie dał mu się we znaki, a Dayna dolewała jeszcze oliwy do ognia.

- Mówiłem ci już, Dayna. Potknęła się, kiedy zeskakiwała z huśtawki. Potknęła się i upadła. To się zdarza.

- A już myślałam, że podczas zwykłego spaceru do parku nie przydarzy ci się żadna katastrofa. - W głosie Dayny brzmiała skrywana wściekłość. - I znowu się pomyliłam. Czy to groźne?

Joe westchnął. No tak. Dayna uważa, że każde zetknięcie Joego z dzieckiem rodzi problemy, i jej obawy zawsze okazywały się uzasadnione, nawet jeśli Joe bardzo się starał. Zazwyczaj chodziło o jakiś drobiazg - koszulkę poplamioną sokiem albo uszkodzoną zabawkę - czyli rzeczy, które Dayna łatwo mogłaby zignorować, gdyby tylko chciała. Tym razem jednak Joe musiał przyznać, że złamanej ręki nie można tak łatwo zlekceważyć.

- To złamanie zielonej gałązki.

- A cóż to, na Boga, takiego?

- Kość nie jest całkowicie złamana. Złamaniu uległa jedna strona, druga się tylko wygięła. To częste u dzieci. - Joe zmarszczył czoło. - Dayna, dwa lata temu Scott miał takie samo złamanie.

- Scott to chłopak. - Dayna uznała złamanie ręki starszego syna za nieważne. - Gdzie jest Samantha, Joe? Mam nadzieję, że nie zostawiłeś jej gdzieś samej.

- Oczywiście, że nie. Jest z nią pielęgniarka.

- No cóż, chciałabym ją teraz zobaczyć.

- Proszę. - Joe przepuścił szwagierkę przodem, a potem poszedł za nią, przyciskając się do ściany, gdy mijał sanitariusza pchającego łóżko z chorym do innej części budynku. Nie zauważył stojącej nieopodal doktor Felicity Munroe, toteż nie musiał zadawać sobie pytania, ile słyszała z jego przykrej rozmowy z Dayną.

Prowadził teraz Daynę na oddział nagłych wypadków.

Nadal był przerażony odkryciem kwalifikacji i stanowiska Felicity. Gdy przypominał sobie, co do niej mówił wtedy na budowie, aż ciarki przechodziły mu po grzbiecie. No bo jak ma się czuć lekarka, gdy ktoś jej mówi, że nie wie, co robi? Albo że jeśli chce się do czegoś przydać, to może przytrzymać pacjentowi głowę. Oczywiście, mogła się przyznać, że jest lekarzem, podejrzewał jednak, iż istotnie nie dopuścił jej do głosu. Wypadek robotnika zbytnio mu jednak przypominał wypadek Catherine i koszmar, jaki się zaczął potem, bo ktoś popełnił tragiczny w skutkach błąd.

Podeszli do kabiny numer trzy. Nie dość, że na budowie potraktował ją z góry, to jeszcze tutaj założył, że jest pielęgniarką. Gdyby nie był aż tak przygnębiony wypadkiem córki, może i by zauważył, że Felicity nie miała na sobie stroju pielęgniarki. Powinien był zadać sobie choćby trud przeczytania identyfikatora.

- Cześć, mamó. - Samantha uśmiechnęła się. - Popatrz na mój gips. Jest różowy!

- Bardzo ładny. - Pielęgniarka odsunęła się od łóżka, a Dayna ucałowała Samanthę. - Czy bardzo cię boli, kochanie?

- Już nie. Dostałam lekarstwa. Teraz jestem głodna. Joe uśmiechnął się do córki. Wyglądała o niebo lepiej.

Miał ochotę pobyć z nią przez jakiś czas, zatrzeć jakoś złe wrażenie ich spaceru.

- Może pójdziemy na hamburgera?

- Nie - zaprotestowała Dayna. - Pora wracać do domu. Samantha miała tak rozczarowaną minę, że Joe odważył się ponowić próbę.

- Mógłbym ją odwiedzić trochę później.

- Joe, ja właśnie przyjechałam do szpitala. Zostawiłam chłopców z Nigelem, a on ma mnóstwo pracy. Musimy jeszcze zrobić zakupy, a Scott o szesnastej trzydzieści ma lekcję muzyki. Nie mam czasu, żeby ciągle zmieniać plany. Zabieram teraz Samanthę do domu.

Joe poddał się. Szkoda nerwów na spory z Dayną, zwłaszcza dziś, gdy Sam jest zmęczona. Patrzył, jak Dayna pomaga jego córce wstać z łóżka.

- Mamo?

Dayna właśnie składała sweter dziewczynki, który leżał w nogach łóżka, i wyglądała, jakby nie słyszała.

- Mamo?

Joe zacisnął zęby. Dayna nie jest matką Sam. Jest jej ciotką. Sam zaczęła się do niej zwracać per „mamo”, bo tak się do niej zwracają jej dwaj synowie. A Dayna nie zaprotestowała.

- Mamo? - Sam podjęła nową próbę. - Czy Puf Puf Snowball może się ze mną dziś wykapać? Jest naprawdę brudny.

- Możemy go wrzucić do pralki. - Dayna odwróciła się teraz do pielęgniarki, która poprosiła o podpis na wypisie.

Joe zbliżył się do córki i rzekł łagodnie:

- Kiedy zostaniesz na noc u mnie, Puf Puf Snowball może się z tobą porządnie wykapać.

Dziewczynka uśmiechnęła się promiennie. Był to cenny uśmiech, a jeszcze cenniejszy był uścisk jedną ręką, mimo przeszkody stwarzanej przez zabawkę. Dzięki temu Joe poczuł przez chwilę przyjemność, jaką obiecywał sobie po spotkaniu z córką tego dnia. Teraz już bez bólu patrzył, jak Dayna szybko wyprowadza z sobą Sam. A nawet się do siebie uśmiechnął. Nazwanie

zabawki tym okropnym imieniem wcale nie było takie straszne. Może powinien trochę się odprężyć. Za mało czasu spędza z córką i nie jest to tylko jego wina.

Mógłby zacząć się uczyć. Przypomniawszy sobie, z jaką łatwością Felicity nawiązała kontakt z jego dzieckiem. Zamiast mieć o to do niej żal, mógłby pójść w jej ślady. Mógłby zachowywać się przy dziecku swobodnie, okazywać mu zaufanie. I przyjaźń. Felicity najwyraźniej jest osobą sympatyczną, dobrą dla dzieci, i na pewno wie, co robi, skoro jest konsultantem. Na ogół takie stanowiska obejmują starsi lekarze, a ona wygląda niezwykle młodo. Chyba ma niewiele ponad trzydzieści lat.

Teraz już nie był zaskoczony, gdy opuszczając oddział, natknął się na Felicity. Ta kobieta ma dar ukazywania się w najmniej spodziewanych miejscach. Przystanął i posłał jej promienny uśmiech.

- Bardzo dziękuję za pomoc, doktor Munroe.

- Cała przyjemność po mojej stronie, doktorze Petersen. Ten oficjalny ton jest śmieszny. Spojrzeli na siebie z rozbawieniem.

- Mam na imię Joe.

- A ja Fliss.

Równocześnie wyciągnęli do siebie ręce. Uścisk był krótki, lecz silny. Joe zdążył jednak zauważyć, że Fliss nie nosi obrączki. Jego umysł szybko przetrawiał informacje. Tak, ona ma niewiele ponad trzydzieści lat i jest niewiarygodnie atrakcyjna. Trudno jest odwrócić wzrok od jej dużych, orzechowych oczu. Nie patrzą co prawda na niego tak serdecznie jak na Sam, ale trudno się dziwić...

- Chciałbym przeprosić - rzekł pośpiesznie.

- Za co? - spytała chłodno.

Może ją to nie interesuje? Rzeczywiście, za co. Jest z czego wybierać. Obraził ją więcej niż raz, oceniając błędnie jej zawód. Wykazał się także kompletnym brakiem kwalifikacji jako ojciec. Nie powinien był odpowiadać na

pytania zamiast córki. I denerwować jej podaniem błędnego imienia psa. Fliss pewnie pomyślała, że jest idiotą. I to nieuprzejmym.

- Nasza znajomość zaczęła się dość niefortunnie. Przepraszam, że nie wykorzystałem twoich umiejętności na miejscu wypadku.

- Nie wiedziałeś, że mam jakiegokolwiek umiejętności.

- No tak, ona zbywa moje przeprosiny.

- Z Sam też się dziś nie spisałem.

- Czasem trudniej jest poradzić sobie z rodziną niż z obcymi pacjentami.

- Chodzi o to, że... - Zawahał się. Jeśli chce, by ta kobieta zmieniła o nim opinię, on sam musi najpierw dociec, skąd się biorą jego reakcje. Niemniej wyjaśnienie przyczyn jego zachowania może zająć sporo czasu, a Felicity patrzy przed siebie takim wzrokiem, jakby chciała uciec. - Chciałbym się wytłumaczyć - dodał szybko. - I może odkupić grzechy.

- Ależ nie ma takiej potrzeby.

- Może wypijemy razem kawę? - Czuł, że Fliss go splawia, a nie chciał tego. - Kiedy będziesz miała czas.

- Chyba nie. - Jej uśmiech był uprzejmy. - Ale dziękuję za zaproszenie.

Miło było cię poznać, Joe.

Z żalem patrzył, jak Fliss znika za drzwiami. Mógł tę rozmowę poprowadzić lepiej. Naprawdę ma teraz ochotę na kawę, ale chyba nie wypije jej z młodą konsultantką. Postawiła sprawę jasno. Jedyna nadzieja w jutrzejszym spotkaniu...

Jeśli jutrzejsza rozmowa zakończy się sukcesem, będzie miał niejedną okazję, by przekonać Fliss, że warto z nim spędzić trochę czasu. Do tej pory zupełnie nie przejmował się jutrzejszym spotkaniem, bo jeszcze nie wiedział, czego chce. Teraz wszystko stało się jasne.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Dlaczego to trwa tak długo?

- Nie mam pojęcia.

Zmarszczyła czoło i spojrzała na zegarek.

- Kiedy dzwoniłeś po neurochirurga?

- Prawie dziesięć minut temu. - Doktor Colin White wyglądał na zmartwionego. - Powiedzieli, że właśnie kończy zabieg na bloku operacyjnym i przyjdzie tu prosto stamtąd.

- Gdyby szedł prosto, nie trwałoby to aż dziesięć minut. - Felicity zerknęła na monitory wokół łóżka pacjentki. - Wobec tego przewieźmy ją na tomografię. Za chwilę do tej sali przywiozą pacjenta helikopterem.

Oczy Felicity spoczęły na nieprzytomnej pacjentce, gdy drzwi się otworzyły.

- Witam. Jestem neurochirurgiem. Joe Petersen. Nigdy jeszcze tak szybko nie poderwała głowy do góry.

Na ułamek sekundy zapomniała o pacjentce. Joe Petersen z córką pojawił się na oddziale nagłych wypadków trzy tygodnie temu. Prawie już o nim... zapomniała. A teraz nie tylko z powrotem wkroczył w jej świat, lecz także stanął przy łóżku ciężko chorej pacjentki i musi z nim współpracować.

- To jest Crystal Loftman - oznajmiła szorstko. - Pięćdziesiąt sześć lat, dotąd zdrowa i na nic nie leczona. Narzekała na silny ból głowy i karku, raz zwymiotowała, a potem straciła przytomność. Mniej więcej dwadzieścia pięć minut temu.

Joe oceniał stan leżącej na łóżku, otyłej kobiety.

- Z jakimi objawami ją przywieziono?

Felicity wyjaśniła, że praca serca i ciśnienie były w normie. Źrenice pacjentki miały taką samą wielkość i zwężyły się prawidłowo, reagując na silne

światło. Oddychała bardzo szybko, nie była w stanie otworzyć oczu, a na pytania udzielała mało zwięzłych odpowiedzi. Słuchając wyводу Felicity, Joe obserwował monitory. Zauważył, że w ciśnieniu krwi nastąpiła zmiana i różnica między ciśnieniem skurczowym a rozkurczowym wzrosła. Mogłoby to wskazywać na wzrost ciśnienia śródczaszkowego.

- Poziom glukozy we krwi? - spytał, unosząc powieki pacjentki i ponownie sprawdzając reakcję źrenic na światło.

- Sześć przecinek pięć. - Już załogi karetek sprawdzają, czy utrata przytomności nie jest spowodowana zbyt wysoką obecnością cukru we krwi.

- Dlaczego jest intubowana?

Stało się to konieczne z powodu torsji. Felicity sama dokonała intubacji. Komplikacje wynikające z przedostawania się treści pokarmowych do tchawicy mogą być katastrofalne, zaś niski poziom świadomości Crystal potęgował ryzyko.

- Czy tomograf jest zamówiony?

- Już na nią czekają - wtrącił Colin White. Joe kiwnął głową.

- Wobec tego chodźmy.

Felicity także pokiwała głową. Joe jest tu od niecałych dwóch minut, a pacjentka już jest gotowa do następnego etapu diagnozowania. Teraz Felicity pozostało tylko patrzeć, jak Joe opuszcza salę w ślad za sanitariuszami wywożącymi łóżko. Tej procesji towarzyszyło kilka osób zajmujących się przeniesieniem urządzeń monitorujących.

Felicity ogarnęło poczucie satysfakcji. Wiedziała, że zrobiła wszystko, co do niej należało, a za chwilę miejsce Crystal zajmie inny pacjent. Opuściła salę i zerknęła w stronę drzwi do części głównej szpitala, przez które właśnie przepychano łóżko z Crystal. Gdy jej wzrok napotkał spojrzenie Joego, szybko odwróciła głowę.

Zastanowiła się, co czuje. Irytację z powodu zaskoczenia spowodowanego pojawieniem się doktora Petersena? Nieufność wobec nowego kolegi, który

dopiero musi udowodnić swą fachowość? Uśmiechnęła się do siebie ironicznie. No cóż, ma wszelkie dane, by podejrzewać, że jest on zawodowcem w każdym calu, bo widziała go przy tym robotniku na budowie. Ma także wszelkie dane, by uważać, że Joe ma skłonność do aroganckiego przejmowania kontroli i pomniejszania umiejętności innych. A to nie jest pożądana cecha u żadnego kolegi.

Zamyśliła się. Joe pracuje tutaj jako starszy lekarz, a więc jest niższy od niej rangą i ma ograniczone prawa podejmowania klinicznych decyzji. Joe wie, kim ona jest, i będzie musiał wykonywać jej polecenia - przynajmniej na tym oddziale. Znow się do siebie uśmiechnęła. Nie była zachwycona, gdy tam, na budowie, została potraktowana jak mało przydatna asystentka. Nie była zachwycona, gdy została później uznana za pielęgniarkę, a już z pewnością nie zachwyciło jej zaproszenie na kawę przez mężczyznę, którego żona i dziecko były w zasięgu wzroku. Być może teraz, gdy przed chwilą ich oczy się spotkały, ogarnęło ją uczucie radości na myśl o tym, że ma okazję odplacić mu się za jego zachowanie?

Okazja ta nie pojawiła się do końca jej zmiany, mimo że Joe pokazał się o dziewiątej wieczór na oddziale, gdzie grupie personelu wyjaśniał znaczenie zdjęć z tomografu.

- Tu, w komorach, widać dużo krwi. A także rozszerzenie komór. - Jego ręka przesunęła się do następnego zdjęcia. - Skrzepy krwi widoczne są jeszcze w innych miejscach. Widzicie? Tu i tu.

- Co można zrobić dla tej pacjentki na intensywnej terapii? - zapytała pielęgniarka.

- Założyliśmy z prawej strony dren - odparł Joe - żeby usunąć nadmiar krwi. Miała jednak rozległy wylew podpajęczynówkowy i rokowania nie są dobre. Rano podejmiemy decyzję, czy ją operować.

Zauważył Felicity, dopiero gdy grupa słuchaczy się rozeszła. Lecz gdy już to się stało, uśmiechnął się szeroko.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że przeszkadzam w pracy twoim ludziom. Pomyślałem sobie, że niektórzy chętnie wysłuchają paru wyjaśnień.

- Ależ oczywiście, że nie mam ci za złe. Krótkie wykłady są zawsze pożyteczne, cenią je zwłaszcza pielęgniarki. One czasem czują się wyrzucone poza nawias - oznajmiła i odeszła.

Dodatkowe wizyty są na pewno dobrze widziane, ale nie miała zamiaru zachęcać Joego do spędzania na jej oddziale więcej czasu niż to konieczne.

On zaś wykorzystywał każdą okazję, by znaleźć się na nagłych wypadkach. Teraz też zmierzał w tamtym kierunku. Jego pierwszy całodobowy dyżur oznaczał początek trzeciego tygodnia pracy na etacie neurochirurga przed specjalizacją w szpitalu Queen Mary. Właściwie nikt go nie wzywał na nagłe wypadki, ale skoro u siebie nie miał nic do roboty, postanowił zanieść tam raport na temat pacjenta sprzed dwóch dni, o który ktoś go poprosił. Była jedenasta wieczór, toteż Joe nie spodziewał się, że czeka go premia w postaci spotkania z Fliss. Mimo wszystko jednak rozglądał się wokół, wypatrując jej... i mając nadzieję, że ją mimo wszystko zobaczy.

Właściwie szukał jej codziennie - gdy wędrował korytarzami, gdy znajdował się w bufecie. Do diabła, wypatrywał jej nawet w garażu. Mimo że robił to dopiero od niedawna, nabrał w tym niezwyklej wprost wprawy i z najdalszej odległości rozpoznawał jej szczupłą postać i charakterystyczny chód. Nauczył się też wyławiać jej śpiewny głos pośród gwaru panującego przy stolikach, rozpoznawać jej cudowny śmiech.

W jego obecności jednak Fliss nigdy się nie śmiała. Uśmiechała się także niezbyt często, lecz gdy się to zdarzało, Joe niezmiennie wypatrywał dołeczka na jej lewym policzku. Biorąc pod uwagę komplikacje, które ściągnęły go z powrotem do Nowej Zelandii, był zdumiony, że dopuścił do pojawienia się jeszcze jednej, lecz teraz już nie miał na to wpływu. Fliss zauroczyła go bez reszty.

Była niewiele niższa od niego, a on miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Jej długie proste włosy miały bogaty kasztanowy odcień, a w orzechowych

oczach mieszkało ciepło. Poza tym emanowała spokojem i wiarygodnością, a dorównywała im jej kompetencja zawodowa. Mimo młodego wieku była szanowana przez wszystkich, którzy z nią pracowali.

Upłynęło kilka tygodni, zanim Joe przestał się wstydić swego zachowania z początku ich znajomości. Teraz jednak był pewien, że pierwszy etap mają już za sobą, a nawet myślał, że może kiedyś zaczyna się z tego śmiać. To znaczy, jeśli uda mu się zbliżyć do tej ciągle umykającej mu kobiety.

Uklonił się z uśmiechem kilku pielęgniarkom, które właśnie wracały z bufetu z przerwy na posiłek. Niektóre znał już z imienia. Z łatwością wtopił się w swe nowe środowisko. I zapewne gdyby zechciał, z którąś z tych pielęgniarek mógłby nawiązać bliższą znajomość. Jego jednak interesowało bliższe poznanie tylko jednej kobiety, a to było trudne..

Naprawdę się starał. Czasami nawet miał wrażenie, że odniósł pewien sukces. Jak tego dnia, gdy wezwano go do dziecka z lekkim wstrząśnieniem mózgu. Specjalnie wtedy przedłużał swój pobyt na oddziale, udając, że musi uzupełnić dokumentację, bo Fliss była zajęta szukaniem czegoś w komputerze. Wtedy to ona odezwała się do niego pierwsza.

- Czy wiesz, jakie były losy tego robotnika, który spadł z rusztowania? - Pytanie było zadane uprzejmym tonem, lecz wyczuł, że Fliss naprawdę chce z nim porozmawiać.

- Jeffa Simmsa? - odpowiedział szybko. - Odwiedziłem go kilka razy. Bardzo mi zaimponowały warunki w Coronation.

Felicity kiwnęła głową. Zgadzała się z jego oceną wyposażenia specjalistycznego ośrodka leczenia schorzeń kręgosłupa w Christchurch, bardziej jednak interesował ją stan pacjenta.

- A jak on się miewa? Czy było to całkowite uszkodzenia rdzenia kręgowego?

- Niestety tak. Poniżej C5. Porażenie czterokończynowe. - Joe pokręcił głową. - Przez pierwszy tydzień był w złym stanie. Szok neurogeniczny i

porażenna niedrożność jelita spowodowały komplikacje układu oddechowego i przez pewien czas trzeba go było wentylować. Potem przyplątał się stan zapalny dróg oddechowych, ale teraz facet dochodzi już do siebie. Przynajmniej fizycznie. A pogodzenie się z kalectwem zajmie mu z pewnością więcej czasu.

- Biedak. - Wyglądała na prawdziwie zasmuconą. - Wątpię, żeby ktokolwiek potrafił się pogodzić z tego rodzaju ułomnością. Zwłaszcza gdy dzieje się to tak nagle.

- To jest na pewno bardzo trudne. - Joe stracił zainteresowanie swymi zapiskami, rozsiadł się wygodnie na krześle i szykował do dalszego ciągu rozmowy.

I tak by było, gdyby Fliss nie wezwano do pacjentki z zaburzeniami w pracy serca. I gdyby się nie pospieszył, znowu jej proponując pójście po pracy na kawę.

A skoro mowa o sprzecznych sygnałach, to przez moment wyglądała tak, jakby miała się zgodzić, lecz zaraz potem pojawiła się mina sugerująca, by nie przekraczał granic - i nagle ponownie wylądował na ławce karnej. Co jest takiego złego w zaproszeniu na kawę? Czy w tym szpitalu obowiązuje niepisana zasada, że lekarzom nie wolno się przyjaźnić? Mało to prawdopodobne. A może Fliss ma męża, tylko nie wkłada do pracy obrączki?

To jest bardziej prawdopodobne, toteż kilka dni później Joe wykorzystał swą wizytę na nagłych wypadkach do przeprowadzenia małego śledztwa.

Ułatwił mu to Gareth Harvey, długoletni szef oddziału, przyjaźnie nastawiony do ludzi. Swego czasu Joe był bardzo zadowolony, gdy Gareth poświęcił parę minut, by powitać go w gronie współpracowników i pogratulować sukcesu w poprowadzeniu przypadku skomplikowanego złamania.

- Ktoś mi przy tym pomagał - odparł Joe. - Uszkodzenie nerwu byłoby znacznie groźniejsze, gdyby od początku tak dobrze się nim nie zajęto. - Urwał na moment.

- Felicity Munroe to bardzo kompetentna lekarka.
- Ona jest fantastyczna - zgodził się Gareth skwapliwie.
- To szczęście, że ją mamy. Jest naszą najnowszą konsultantką, jedną z najlepszych. Mam nadzieję, że zostanie u nas długo.
- A dlaczego miałyby odejść?
- W pewnym momencie może zapragnąć zdobywania doświadczeń za granicą. Ona może rozwijać się w kierunku, w jakim zechce, a podyplomowe studia najlepiej jest przeprowadzać w znanych ośrodkach. - Gareth spojrzał na Joeego z namysłem. - A poza tym młode lekarki, zwłaszcza o urodzie Fliss, często dają się złowić w małżeńskie sidła i są porywane. - Gareth zachichotał. - Zwłaszcza przez młodych lekarzy pragnących zdobyć szlify za granicą.
- Aha. - Joe przybrał nonszalancką minę. - A więc jakiś młody lekarz tylko czeka, żeby porwać Fliss?

- Nic o tym nie wiem. - Gareth uśmiechnął się i przymrużył jedno oko. Joe otrzymał w ten sposób informację, że gdyby Felicity zaangażowała się w jakiś poważniejszy związek, to on, Gareth, na pewno by o tym wiedział.

A więc Fliss nie jest mężatką, a tu często się zdarza że lekarze i lekarki łączą się w pary i wyfruwają za granicę. Być może sama Fliss ma coś przeciwko bliskiemu związkowi z kolegą, lecz to nie powinno stanowić problemu. Po pierwsze,, on pracuje na innym oddziale, a jego etat jest czasowy.

Joe miał zamiar objąć posadę konsultanta w szpitalu Coronation. Jego zainteresowanie losem Jeffa Simmsa sprawiło, że poznał pracujących tam lekarzy. Od nich właśnie dowiedział się, że wkrótce zostanie utworzone tam stanowisko konsultanta.

A może problem w tym, że Fliss nie uważa go za atrakcyjnego? No cóż, to możliwe. Nie należy się spodziewać, że jego zainteresowanie zostanie natychmiast odwzajemnione. Chyba żeby trafiło mu się wielkie szczęście. Na razie pragnął jedynie wskazówki, czy może liczyć ze strony Fliss na cokolwiek. Jakiś sygnał, by rozpocząć jedną z najwspanialszych przygód jego życia. Kochał

Catherine, oczywiście, ale nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wzbudzała w nim aż tak silne uczucia.

W głębi duszy żywił jednak przekonanie, że to nie tylko wyobraźnia rodzi w nim wrażenie, że Felicity coś w nim widzi. Był pewien, że obserwowała go podczas pracy na jej oddziale. Czuł intensywność jej spojrzenia. Tę samą intensywność wyczuł już pierwszego dnia, gdy ją spotkał. Wtedy jej baczna obserwacja jego poczynañ nieco go irytowała, lecz uznał, że to tylko zafascynowanie laika akcją ratunkową.

Po trzech tygodniach pracy mógł z satysfakcją stwierdzić, że on i Fliss cenią swój profesjonalizm. Samo jednak darzenie się szacunkiem nie stwarza wystarczających podstaw do nawiązania bliższego związku, a na taki związek Joe coraz bardziej liczył. Jego nadzieje zaś nie były bezpodstawne.

Częsty kontakt wzrokowy z pewnością nie był przypadkowy. Ani jednostronny. Fliss na ogół pierwsza odwracała wzrok, gdy ich oczy się spotkały, niemniej pozostawało faktem, że nierzadko na niego patrzyła. Tak jak teraz. Może spodziewała się pogawędki na tematy zawodowe, do czego Joe już zdążył przyzwyczaić jej personel. Jeśli zaś chodzi o niego samego, to niespodziewane spotkanie Fliss na dyżurze nocnym wystarczyło, by odważył się podjąć jeszcze jedno ryzyko.

- Jak się ma twój pies? - zapytał zdawkowo, przywitawszy się uprzednio.

- Rusty, prawda?

Nie była w stanie ukryć, że jego pytanie przyjemnie ją zaskoczyło.

- Jakim cudem zapamiętałeś coś tak błahego?

- Trudno było zapomnieć. - Spojrzał na nią z rozbawieniem. - Łapię się na tym, że ilekroć głaszczę Sam po głowie, widzę ogony irlandzkich seterów.

Felicity zeszywniała.

- A jak się czuje Sam? - zapytała oficjalnie. - Czy już zdjęto jej gips?

- O, tak. Złamanie całkowicie się zrosło. Sam o wszystkim już zapomniała.

- To dobrze. - Felicity nagle przestała sprawiać wrażenie zainteresowanej. Szybko pobiegła do telefonu, by odpowiedzieć na sygnał pagera.

Patrzył, jak znikala. A więc o to chodzi? Czy to fakt, że on ma dziecko, tak ją zniechęca? Czy ona nie lubi dzieci?

Chyba nie. Nie można nie lubić dzieci, a zarazem nawiązywać z nimi tak dobry kontakt, jaki ona nawiązała z Sam. A może chciałyby mieć swoje dzieci, a nie cudze? To może istotnie trochę zrażać, lecz Joe postanowił się nie poddawać. Sam jest w stanie zdobyć serce każdego, jeśli ktoś zechce ją bliżej poznać. Jego córka nie będzie stanowiła przeszkody w jego związku. Przecież obecnie nawet z nim nie mieszka. Teraz chodzi o przełamanie pierwszych barier i przekonanie Fliss, że warto z nim spędzić trochę czasu. Tylko w ten sposób mógłby się przekonać, czy jego zainteresowanie tą kobietą to po prostu zadurzenie, czy oznaka czegoś głębszego. Otworzyły się automatyczne drzwi prowadzące do zatoki dla karettek i wepchnięto do środka nosze. Joe zauważył zakrwawiony opatrunek na głowie pacjenta i podszedł bliżej. Nie ma sensu stąd wychodzić, bo i tak za chwilę wezwą go do oceny rany głowy. Stał więc w progu pokoju urazowego, nie wchodząc w drogę ekipie uwijającej się wokół centralnego stołu. Pacjentem był młody mężczyzna, przytomny i zdenerwowany.

- Nazywam się Fliss Munroe - przedstawiła się Felicity - i jestem tu lekarzem. A jak pan się nazywa?

- Chris Keen. Czy ktoś może zadzwonić do mojej mamy?

- Proszę tego nie usuwać. - Felicity poprawiła maskę tlenową, którą Chris przed chwilą ściągnął. - Chris, czy pan wie, gdzie pan jest?

- W szpitalu. Numer mojej mamy jest 2736-4519. Czy możecie do niej zadzwonić? Proszę.

- Ktoś już się z nią kontaktuje. Proszę się nie ruszać, dobrze? Musimy się dowiedzieć, co pan sobie zrobił.

Felicity poprawiła maskę tlenową, ktoś inny zakładał mankiet do mierzenia ciśnienia, a jeszcze ktoś inny elektrody do EKG. Konieczna była też zmiana kroplówki. Joe słyszał, że młodzieniec ma problemy z oddychaniem. Jego oddech był szybki i świszczący. Joe stwierdził także, że poziom nasycenia tlenem jest za niski, lecz Chris był tak niespokojny, że maska tlenowa go drażniła. Gareth usiłował osłuchać go stetoskopem, podczas gdy Chris nie przestawał mówić. Być może uraz głowy nie jest bardzo poważny, choć powtarzanie pewnych zdań może świadczyć o wstrząśnieniu mózgu. Numer telefonu matki Chris powtórzył już ze cztery razy. A gdy przecięto jego ubranie, okazało się, że ma poważne obrażenia klatki piersiowej i boku.

Felicity i Gareth z trudem założyli wiercącemu się pacjentowi dren do jamy opłucnowej. Oddech natychmiast się wyrównał i pacjent nieco się uspokoił. Czy tylko na skutek zwiększenia dopływu tlenu? Może jednak zaczynał tracić przytomność. Joe spojrzał na sanitariusza, który przywiózł pacjenta, i ucieszył się, że zapamiętał jego imię.

- Cześć, Stan. Co mu się stało?

- Wpadł motocyklem na drzewo. Stracił kontrolę na zakręcie z powodu wilgotnej nawierzchni.

- Czy miał kask?

- Tak. Jest nieźle pognieciony, a według relacji świadka, chłopak na pięć minut stracił przytomność. Kiedy przyjechalśmy, był zagubiony i agresywny.

- Pęknięcie czaszki?

Stanley ponownie kiwnął głową.

- Złamanie z wgnieceniem kości w lewej okolicy ciemieniowej.

- Otwarte?

- Nie. Krwawienie pochodzi z zewnętrznej rany głowy. Lewa źrenica słabo reagowała, ale w czasie drogi Chris stał się bardziej komunikatywny.

Joe obserwował monitory. W ciągu ostatnich dwóch minut amplituda fali tętna wzrosła, częstość akcji serca zaś znacznie spadła. Tempo oddechu również się spowolniło i świadomość Chrisa malała. Czy w wyniku zastosowanych środków usmierzających, czy też na skutek czegoś groźniejszego?

- Chris? - odezwała się Felicity. - Proszę otworzyć oczy. - Poświeciła latarką w źrenice pacjenta. Powieki szybko się zamknęły. - Lewa źrenica się rozszerza - oznajmiła, zerkając na monitory. - Myślę, że mamy do czynienia z urazem głowy.

Gareth pokiwał głową.

- Co chcesz zrobić, Fliss?

- Podać środki uspokajające i intubować. I wezwać kogoś z neurochirurgii.

- Już tu jestem. - Joe podszedł do stołu, a Felicity powitała go uśmiechem.

- Nie mogę narzekać, że to długo trwało. Ile wiesz?

- Wszystko. - Joe naciągnął rękawiczki, po czym usunął opatrunek z głowy pacjenta. Tak, pęknięcie czaszki. Lewa źrenica trwale rozszerzona, częstość akcji serca gwałtownie spada, bicie nieregularne. Pacjent nie reaguje na słowa.

- I jak, Joe? Mamy czas na tomograf i przewiezienie go do sali operacyjnej?

- Wykluczone. Ciśnienie śródczaszkowe szybko rośnie. Czy macie tu sprzęt do wiercenia otworów w kości?

Oczy Felicity zrobiły się okrągłe.

- Oczywiście. Ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś to tutaj robił.

- Na wszystko przychodzi czas. - Joe spojrzał na Garetha. - Czy zgadzasz się na ten zabieg, czy wolisz zawołać neurochirurga konsultanta?

Gareth potrząsnął głową.

- Nie ma czasu, a ty z twoimi kwalifikacjami też mógłbyś być konsultantem. Zgadzam się na wszystko, co zaproponujesz.

Ekipa ratowników szybko przystąpiła do działania. Pacjentowi wstrzyknięto dożylnie mannitol w celu zapobieżenia obrzękowi mózgu. Zrobiono mu dostęp do dużej żyły podobojczykowej i zamówiono krew do transfuzji. Chris został znieczulony i podłączony do respiratora. Ogolono mu głowę, przemyto skórę środkiem dezynfekcyjnym, resztę ciała okryto sterylnymi płachtami. Felicity wyszorowała ręce i włożyła fartuch chirurgiczny, by asystować przy operacji.

Joe pewną ręką dokonał pierwszego nacięcia.

- To jest tętnica skroniowa - zauważył. - Zaciśnij ją, dobrze, Fliss?

Potem skalpelem przeciął mięśnie i przytrzymał je retraktorem. Cienka powłoka pokrywająca czaszkę została odsunięta, odsłaniając kość, w której Joe miał wywiercić otwór. Felicity wstrzymała oddech, patrząc, jak jej kolega sięga po narzędzie chirurgiczne. Tego rodzaju zabieg wymagał niezwykłych wprost umiejętności.

- Popatrz. - W głosie Joego zabrzmiała satysfakcja, gdy oceniał otwór. Felicity dostrzegła niebieskawy odcień i napięcie twardej opony okrywającej mózg. Byli coraz bliżej źródła groźnego krwotoku.

- Musimy powiększyć otwór, przeciąć błonę i wydostać tyle skrzepu, ile się da. A potem spróbujemy zlokalizować miejsce krwawienia.

- On traci dużo krwi - ostrzegła Felicity.

- Teraz się tym nie martw - odparł Joe spokojnie. - Śmierć od ucisku na mózg jest znacznie szybsza.

Spokój, jaki zademonstrował Joe podczas kilku następnych minut, neutralizował straszliwe napięcie panujące w sali. Tutaj stawką było życie i wszystko zależało od umiejętności Joego. Wywiercił kilka następnych otworów, po czym małą piłą drucianą przeciął kość między otworami i usunął niewielki jej kawałek. Potem przeciął oponę nożyczkami i wyjął ze środka wielki skrzep, ukazując źródło krwotoku, po czym podwiązał uszkodzone miejsce, by powstrzymać krwawienie.

Na twarzach personelu pojawiło się uczucie ulgi. Gdy monitory potwierdziły poprawę stanu pacjenta, do poczucia ulgi dołączył podziw, który Joe próbował zbyć wzruszeniem ramion.

- Pojadę z nim do operacyjnej - oznajmił.

- Zawiadomisz nas, co z nim, dobrze? - Felicity na chwilę urwała. - Spisałeś się naprawdę świetnie, Joe. Jestem pod wrażeniem.

- Dzięki. - Tej pochwały nie mógł zbyć wzruszeniem ramion, toteż uśmiechnął się do Fliss. - Wrócę tu później. Może nawet dostanę kawę za przekazanie najnowszych wieści.

Odwzajemniła jego uśmiech.

- Na pewno da się to zrobić. Jak długo potrwa operacja?

- Musimy opanować krwawienie, włożyć na miejsce kość i zamknąć czaszkę. A potem wszystko będzie zależało od tego, co znajdziemy wokół tego pęknięcia, ale to już chyba pójdzie szybko. O której kończysz?

- O siódmej rano.

Joe z uśmiechem szedł do bloku operacyjnego. Jest dopiero parę minut po północy. Nawet jeśli utknie przy tym pacjencie na dwie albo trzy godziny, i tak zostanie mu mnóstwo czasu, by zobaczyć się z Fliss. Jeśli będą mieli trochę szczęścia, na oddziale może o tej porze panować spokój. A jeśli nie będzie im dane wypić w samotności kawę, to trudno. Żebrak nie grymasi. To dopiero początek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Oddział sprawiał wrażenie opuszczonego.

Czy Fliss na niego czeka? Nie ma chyba powodu, by kręciła się teraz przy salach reanimacyjnych. Sale zabiegowe były puste, podobnie jak większość kabin.

- Cześć, Joe. - Fliss uśmiechnęła się na jego widok. - Całe wieki cię tu nie było. Jak się miewa Chris Keen?

- Nieźle. Właśnie wyszedłem z intensywnej terapii. Oddycha samodzielnie, obrzęk mózgu jest na razie pod kontrolą. Dopiero jutro albo pojutrze będziemy w stanie ocenić zakres uszkodzeń neurologicznych, ale chłopak powinien wyjść z tego obronną ręką.

- Wspaniale. A więc jestem ci winna kawę.

- Nie obraziłbym się...

- Jeśli jeszcze coś zostało. Mamy wyjątkowo spokojną noc i personel spędza czas właśnie na kawie. Odkąd wyszedłeś, nudy tu są na pudy.

- Za wiele wrażeń to też niezdrowo. - Uśmiechnął się szeroko. - Wiercenie otworów w mózgu to dość jak na jedną noc.

- To było coś! - Ruszyła w stronę pokoju wypoczynkowego. - I bardzo się cieszę, że się udało.

On jednak cieszył się znacznie bardziej. Zyskanie uwagi

Fliss było nie lada sztuką, i bardzo by żałował, gdyby mu się nie powiodło. Szkoda, pomyślał, że skoro już zaprosiła go na kawę, to musi ją wypić w tak licznym towarzystwie. Jak podejrzewał, większość stolików w pokoju była zajęta. Pielęgniarki, sanitariusze i lekarze pili kawę, przeglądali czasopisma i czasem coś do siebie zagadywali - w sposób, który świadczył o ich zmęczeniu. Nie była to atmosfera sprzyjająca rozmowie, o jakiej marzył Joe. Humor mu się jednak poprawił, gdy Felicity zaprowadziła go do dalekiego

końca salki, gdzie stały puste fotele - z wyjątkiem jednego fotela w kącie, na którym chrapał smacznie Colin.

- Colin wygląda słodko, kiedy śpi - zauważyła Felicity z uśmiechem.

- Tak samo jest z dziećmi. - Joe zajął miejsce w fotelu obok niej. - Nawet jeśli zachowują się jak diabły, we śnie wyglądają jak aniołki. - Wypił łyk kawy i westchnął błogo. - Dobra - oznajmił. - To była długa noc. - Zerknął na swą sąsiadkę z zaciekawieniem. - Masz dzieci, Fliss?

- Nie jestem mężatką. Uśmiechnął się łobuzersko.

- O ile mi wiadomo, posiadanie dzieci nie łączy się z posiadaniem męża.

- No... tak. Nie mam dzieci. - Uniosła kubek do ust. Pytanie Joego było zdawkowe, wynikające zapewne z jego uwagi o urodzie śpiących dzieci. Nie było to pytanie osobiste, dlaczego więc tak je odebrała? Ma w końcu trzydzieści pięć lat. Większość kobiet w jej wieku ma dzieci.

- Szkoda.

Szkoda, oczywiście. Felicity uwielbiała dzieci. Bardzo chciała je mieć, ale jej szanse malały z każdym rokiem.

Uwaga Joego właśnie jej to uprzytomniła. Nie jest to zbyt przyjemne - słuchać takich komentarzy z ust atrakcyjnego mężczyzny, który ma już rodzinę.

- A czego bardziej szkoda: tego, że nie mam męża, czy że nie mam dzieci?

Joe spojrzał na nią w zagadkowy sposób. Czy on zdaje sobie sprawę, że chłodny ton może oznaczać urazę?

- Szkoda, że nie masz dzieci. Pomyślałem, że mogłabyś mi pomóc w rozwiązaniu pewnego drobnego problemu. Nie. - Pokręcił głową, zrobił komicznie bolesną minę i dramatycznie westchnął. - Dużego problemu. Właściwie olbrzymiego.

Roześmiała się. Rozbawiły ją głównie jego zdolności aktorskie. Ale także poczuła ulgę, że wycofał się z wypytywania jej o osobiste sprawy. No bo cóż

miałaby mu powiedzieć, gdyby oznajmił, że byłaby wspaniałą matką, albo spytał, czy chce mieć dzieci?

- A może mimo to mi o nim opowiesz? - rzekła zachęcająco. - Kto wie, czy nie będę umiała pomóc. Byłam kiedyś dzieckiem.

- Dalej jesteś, no, prawie... - Patrzył na nią z aprobatą. - Ile właściwie masz lat? Dwadzieścia osiem? Dwadzieścia dziewięć? - Potrząsnął głową. - Nie mogę uwierzyć, że jesteś już konsultantem. Ja mam trzydzieści osiem lat i ciągle szukam pracy.

- Mam trzydzieści pięć lat - uśmiechnęła się - i znakomitą pamięć długotrwałą. No więc co to za problem?

- Chodzi o moją córkę. - Urwał i znowu ciężko westchnął, tym razem prawdziwie. - Za dwa tygodnie kończy pięć lat, a podobno są to bardzo ważne urodziny.

- To prawda - zgodziła się. - Rozpoczęcie szkoły, i tak dalej. Wielka zmiana w życiu.

- Uhm. - Joe utkwiał wzrok w kubku z resztką kawy. - Zaproponowałem, że zorganizuję przyjęcie. - Zerknął na Fliss, przygryzając policzek. - Właściwie to uparłem się, że zorganizuję je sam. - Jego niepewny uśmiech był rozbrajający. - To mój pierwszy raz. - Uśmiech przeszedł w grymas. - Jestem prawiczkim w organizowaniu przyjęć.

Ratunku! Co za seksualne odniesienia! Zauroczona zabójczym uśmiechem Joego i prośbą w jego oczach Felicity obawiała się, że za chwilę straci swój spokój, a wraz z nim zasady. Przypomniła sobie surowo o tym, że Joe ma żonę i dzieci, lecz wcale jej to nie pomogło.

- Wcale nie musisz robić tego sam - odezwała się. - Jestem pewna, że twoja żona nie pozwoli ci tak cierpieć.

- Żona? - spytał zdumiony. - Ja nie mam żony. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Widziałam ją. - Nie da mu się oszukać, mimo że ją to kusi. - Ta blondynka, który przyszła po Sam do szpitala.

- To była Dayna. - Patrzył jej prosto w oczy. - Ona nie jest moją żoną. Nie mam żony.

- Kim wobec tego jest Dayna? - To pewnie była żona, pomyślała. Dlaczego Joe robi taką zaskoczoną minę?

- Dayna jest ciotką Sam. Moją szwagierką. Lub raczej moją byłą szwagierką.

- Aha. Jesteś rozwiedziony? - To by wyjaśniało nieprzyjemny ton rozmowy z Dayną w pokoju dla rodzin.

- Nie. - Odetchnął głęboko, nie zdejmując wzroku z Felicity. - Moja żona, Catherine, uległa wypadkowi samochodowemu w czwartym miesiącu ciąży z Sam. Miała silny uraz kręgosłupa w odcinku szyjnym i popełniono błąd podczas ratowania jej na miejscu wypadku.

Natychmiast przypomniała sobie swe pierwsze spotkanie z tym mężczyzną. A więc Joe miał osobiste skojarzenia podczas ratowania tamtego robotnika...

- Mnie tam nie było - ciągnął cicho - ale Catherine wiedziała na tyle dużo, że postanowiła się nie ruszać z powodu bólu w karku. Nie miała żadnych objawów neurologicznych, to znaczy paraliżu czy parestezji. Sądzę, że rdzeń kręgowy był jeszcze nienaruszony. Uraz nie byłby poważny, gdyby jakiś mający dobre intencje świadek wypadku nie uparł się, żeby wyciągnąć ją z samochodu z powodu zagrożenia pożarowego.

Felicity aż jęknęła.

- Och, nie! - Nic dziwnego, że Joe tak się zachował na budowie. Miał wszelkie podstawy do obaw.

- Catherine czuła, jak pęka jej w szyi kość - dodał Joe. - Natychmiastowy i całkowity paraliż. Gdyby ten sam człowiek, który wyciągnął ją z samochodu,

nie potrafił utrzymać jej przy życiu do przyjazdu karetki, nie miałbym nawet Sam.

- Umarła? - Ale przecież była w czwartym miesiącu ciąży. Tak wczesnego porodu żadne dziecko nie przeżyje.

- Dopiero rok później. Żyła dzięki respiratorowi. Dziecko urodziło się przez cesarskie cięcie w dwudziestym ósmym tygodniu. Sam jakoś to przeżyła bez żadnych efektów ubocznych, dzięki Bogu.

Zapanowała chwila ciszy.

- To musiało być dla ciebie bardzo trudne, Joe - powiedziała cicho. - Zwłaszcza że mogło być zupełnie inaczej, gdyby ktoś wiedział, jak postępować w takim przypadku.

- To było gorsze, niż ci się wydaje. Nie zajmowałem się wtedy neurochirurgią. Początkowo chciałem zostać ortopedą. W chwili wypadku Catherine pracowałem na oddziale urazów kręgosłupa w Wellingtonie. Zainteresowałem się pracą neurochirurga współpracującego z zespołem ortopedycznym, który specjalizował się w rehabilitacyjnych operacjach po silnych urazach kręgosłupa. Pomyślałem sobie, że po śmierci Catherine mógłbym się tym zająć, toteż pojechałem do Stanów na studia podyplomowe. Dlatego nie mam jeszcze specjalizacji w dojrzałym wieku trzydziestu ośmiu lat.

Felicity podskoczyła, słysząc dźwięk pagera, lecz to nie ją wzywano ani Joego. Drzemiący w kącie Colin poruszył się i z jękiem wstał na nogi. Gdy odchodził powolnym krokiem, Felicity zdała sobie sprawę, że pokój już opustoszał. Pewnie w tej chwili jest więcej pracy, miała jednak nadzieję, że nic się nie stanie, jeśli jeszcze kilka minut porozmawia z Joem.

- A jak Sam podobało się w Stanach?

- Nie pojechała ze mną. - Zmarszczył czoło. - Chciałem ją zabrać, ale Dayna mnie przekonała, że lepiej jej będzie u nich. - Miał taką minę, jakby żałował tej decyzji, a nawet się jej wstydział. - Dayna jest siostrą Catherine - wyjaśnił. - Jej mąż Nigel to geniusz komputerowy i pracuje w dużej firmie. Co

dwa albo trzy lata się przeprowadzają, a podczas wypadku mieszkali w Wellingtonie, niedaleko mnie i Catherine. Bardzo nam wtedy pomogli. Bez Dayny nie dałbym sobie rady z Sam, a poza tym ona miała jeszcze na głowie dwóch synów. - Joe odchrząknął. - Dayna ma bardzo silną osobowość.

Uśmiechnęła się, słysząc ten dyplomatyczny komentarz.

- Zauważyłam...

- Postanowiła, że będzie wychowywać swoją siostrzenicę przynajmniej przez rok albo dwa. Mam wrażenie, że zawsze chciała mieć córkę, a Nigel nie chciał więcej dzieci.

- A nie miał nic przeciwko Sam?

- Nie dano mu wyboru. - Joe uśmiechnął się cynicznie. - Daynie może się przeciwstawić tylko bardzo silny człowiek. Ja wtedy nie byłem taki silny.

Oprócz wypadku Catherine, jej choroby oraz śmierci musiałem się jeszcze zmagać z wychowywaniem niemowlęcia. Poczulem, że muszę się zwolnić z tamtej pracy, a pomysł zdobycia nowych kwalifikacji jawił mi się jak perspektywa rozpoczęcia nowego życia. Dayna uważała, że najpierw powinienem urządzić się w nowym kraju, a dopiero potem ściągnąć Sam. - Potrząsnął głową. - Ilekroć do niej zadzwoniłem lub wpadłem z kilkudniową wizytą, zawsze były jakieś powody uniemożliwiające mi zabranie Sam. Słyszałem, że Sam ma swoje życie w Christchurch, ma też dziadków - moich rodziców. Sam ma koleżanki z przedszkola. Dziewczynki potrzebują matki, mówiła Dayna, a Sam może nie spodobać się nowy związek, jeśli się na takowy zdecyduje.

- A zdecydowałeś się?

- O mój Boże, zupełnie o tym nie myślałem. Skoncentrowałem się na studiach, szukaniu pracy i sprowadzeniu córki. Niedawno Dayna powiedziała mi, że znowu się przeprowadzają. Tym razem do Australii. Dlatego wróciłem. Dayna już nie może posługiwać się argumentem, że przeprowadzka do innego kraju zakłóci życie Sam. A ja wiem, że jeśli nie odzyskam córki teraz, nie uda mi się to nigdy.

- A więc chcesz ją zabrać do Stanów?

- Nie. W Stanach nie chciałbym wychowywać dziecka. Wróciłem tu na stałe. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Mogę nawet posłużyć się argumentami Dayny. Sam jest zżyta z tym miejscem, ma tu koleżanki, dziadków, no i ojca.

- Czy ona teraz z tobą mieszka?

- Niezupełnie. Nie mogłem zamieszkać z rodzicami, bo przenieśli się do małego segmentu w osiedlu dla emerytów. Nie są okazami zdrowia. Ja wynająłem mieszkanie, ale nie nadaje się ono dla dziecka i dlatego szukam domu. A poza tym chcę dać wszystkim czas na oswojenie się z moimi planami, żeby nie dochodziło do nieprzyjemnych scen. Wiem, że Dayna łatwo się nie podda. W tej chwili prowadzi akcję przekonywania mnie, i zapewne Sam, że nie jestem dobrym materiałem na ojca.

- Jak można coś takiego zrobić?

- To nie takie trudne. - Uśmiechnął się z zażenowaniem. - Kreuje mnie na faceta, który ma dar ściągania katastrof. Na przykład pozwalam Sam zalać sokiem nową sukienkę i ją zniszczyć, albo przeze mnie gubi się lalka, którą Dayna dała Sam na Gwiazdkę, albo się spóźniam, i trzeba na mnie czekać. Była wściekła tego dnia, kiedy ratowałem tego robotnika.

Felicity uniosła brwi.

- Ależ to nie są żadne przestępstwa.

- Sam złamała rękę za pierwszym razem, kiedy wziąłem ją do parku. To jest moje największe przestępstwo.

- Hm. No tak, to był pewien problem. Ale czy jeden z jej synów nie złamał sobie ręki?

- Skąd wiesz?!

- Podśluchałam, jak cię atakowała - wyznała z uśmiechem. - Może dlatego pomyślałam, że to twoja żona.

Joe spojrzał na nią z namysłem.

- Myślę, że następnym razem podyskutujemy o twojej wizji małżeństwa. Dotąd nie bardzo mi pomogłaś.

- Nie miałam okazji - bronila się ze śmiechem. Perspektywa następnego spotkania z Joem bardzo ją intrygowała. - Rozproszyłeś mnie.

- Przedstawiłem ci tło - poprawił ją surowo - żebyś wiedziała, o co toczy się gra. Naraziłem się na kompletną klęskę, podejmując się organizacji tego przyjęcia. Dayna nie tylko będzie mogła dodać nową katastrofę do całej długiej listy wad dyskwalifikujących mnie jako ojca, ale Sam będzie rozczarowana i może stanąć po stronie Dayny.

- Aha. Więc chcesz wydać przyjęcie, które wprawi Sam w zachwyt, a Daynie zamknie usta, przynajmniej na jakiś czas.

- Jasne. - Joe uśmiechnął się szeroko, a potem jęknął. - Ale to nie jest wcale proste!

- Nie jest jednak niemożliwe. Potrzebujesz tylko czyjejs fachowej rady. Albo co najmniej pomocy kogoś, kto się na tym zna.

- Nie mogę poprosić o pomoc Dayny, a nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

- Czyżby?

- No a kto?

- Ja. Przez ostatnie dziesięć lat moi przyjaciele byli bardzo zajęci płodzeniem dzieci i organizowaniem dla nich przyjęć. Kilka pomysłów przyswoiłam sobie drogą osmozy.

- I pomogłabyś? - Zerknął na nią niepewnie.

- Oczywiście. To może być bardzo ciekawe.

Ciekawe, i nie tylko. Czula, że winna jest Joemu zadośćuczynienie za to, że go zbyt pochopnie osądziła. Lekceważyła jego każdy przyjazny gest, myśląc, że to żonaty drań. Co więcej, marnowała mnóstwo energii na tłumienie rzekomo niewłaściwych uczuć wobec tego człowieka. Teraz nie musi już tego robić. Tak!

Organizowanie urodzin Samantha będzie nie tylko ciekawe. Będzie wręcz fascynujące!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ta propozycja wprost spadła mu jak z nieba. Następnego dnia przyszedł do Fliss i zasiadł za jej biurkiem z lekko zszokowaną miną.

- Dlaczego nie notujesz? - zapytała. - Przecież nie zapamiętasz tego wszystkiego.

- Pewnie masz rację - zgodził się potulnie i wyciągnął notatnik przeznaczony zwykle do celów zawodowych. - Czy moglibyśmy zacząć od początku, Fliss?

- Ustal dzień i godzinę. Zaproszenia trzeba wysłać jak najszybciej. Urodziny wypadają w sobotę, prawda? - Zerknęła na kalendarz. - To druga sobota września. Zrobimy przyjęcie z lunchem i dzieciaki za bardzo się nie zmęczą. Czy masz tego dnia dyżur?

- Nie. Dużo wcześniej poprosiłem o wolny dzień.

- Świetnie. Ja też jestem wolna. A więc do rzeczy. Najpierw musisz zrobić listę gości. Kogo chcesz zaprosić?

- Muszę zaprosić Daynę, Nigela i chłopaków, no i moich rodziców, choć oni pewnie długo nie zabawią. No i chyba kilkoro dzieci w wieku Sam.

- Całkiem dobry pomysł - rzekła z uśmiechem. - Jak myślisz, ile osób?

- Nie mam pojęcia. - Zmarszczył z zadumą czoło. - Czy nie możemy po prostu wywiesić zaproszenia w przedszkolu i niech przyjdzie kto chce?

- Ile dzieci chodzi do przedszkola Sam?

- Czterdzieścioro albo pięćdziesięścioro...

- Chcemy mieć przyjęcie, a nie cyrk - uprzytomniła mu rozbawiona. -
Zapytaj Sam o jej najbliższe koleżanki. Ogranicz ich liczbę do najwyżej
dziesięciu i zorientuj się, czy ona chce, żeby zaprosić też chłopców.

- Chłopców? - Spojrzał na nią zaniepokojony. - Jest chyba trochę za mała,
żeby sobie czymś takim zawracać głowę?

Spojrzała na niego łagodnie.

- Od tego zależy, jaki rodzaj przyjęcia urządzimy. Chłopcy na przykład
nie lubią przebierać się za elfy, a dziewczynki to uwielbiają. Chłopcy wolą
klownów czy piratów. Albo kuce.

- Kuce? Chyba trudno jest przebrać się za kuca?

- Chyba mnie nie rozumiesz. Kuce się wynajmuje. Przyjeżdżają na
platformie, a dzieci muszą je wyszczotkować, osiodłać i potem po kolei na nich
jeżdżą. Kuce załatwią ci całe przyjęcie. Nie musisz łamać sobie głowy
wymyślaniem gier ani zabawiać dzieciaków, które nudzą się jak mopsy.

Joe potrząsnął głową.

- Tego nie możemy zrobić.

- Czego? Poradzić sobie ze znudzonymi dziećmi? Mów za siebie, stary. Ja
mam doświadczenie z radzeniem sobie z największymi złościami. I
wygrywam.

- Jestem pewien - odparł sucho. - Chciałem powiedzieć, że nie możemy
pozwolić sobie na kuce.

- Dlaczego? Sam ich nie lubi?

- Ona uwielbia wszystko, co ma futro i oddycha, ale byłoby to zbyt
niebezpieczne.

- Nonsens. - Czyżby Joe był nadopiekuńczym ojcem?

- To są starannie wybrane kuce. Bardzo łagodne.

- To nie o kuce chodzi, ale o ruch.

- Ruch?

- Moje mieszkanie jest na piętrze domu w centrum miasta. Jedynym miejscem, gdzie dzieci mogłyby jeździć, jest chodnik przy jednokierunkowej ulicy. Zawsze pełnej samochodów.

- Nie ma sprawy. Możemy zorganizować przyjęcie u mnie. Joe z wrażenia aż zamrugał powiekami. Świetnie. Dowie się, gdzie Felicity mieszka.

- Mam spory ogród, a mieszkam tuż za miastem, tak że wszyscy z łatwością tam dojadą.

- Byłoby fantastycznie. - Aż poczerwieniał z przejęcia.

- Jesteś pewna, że by ci to nie przeszkadzało?

- Gdyby przeszkadzało, to bym nie proponowała. Mam olbrzymi dom, który jest pusty i cichy, odkąd w zeszłym roku umarł mój ojciec. Byłoby fajnie, gdyby grupa dzieciaków tam pobiegała i pohłasowała. No to jak? Zamawiamy kuce?

- A jakie są inne propozycje?

- Możesz zamówić przyjęcie w jakiejś hamburgerowni, jeśli nie chcesz się wysilać.

Joe potrząsnął głową.

- Na pewno bym w ten sposób nie wywarł wrażenia na Daynie. Każdy może to zrobić.

- Mógłbyś wynająć klowna, magika albo nawet nadmuchiwany zamek.

- Co to jest?

- To taka wielka nadmuchiwana zabawka, po której dzieci się turlają i skaczą. Przyjemność dozwolona tylko przed jedzeniem.

- Dajmy sobie spokój z zamkiem - rzekł Joe pospiesznie. - Podoba mi się pomysł z tymi elfami. Sam uwielbia się przebierać.

- Owszem, elfy to niezły pomysł.

- A może elfy i kuce? - Joe uśmiechnął się radośnie.

- Dlaczego nie? - Odwzajemniła jego uśmiech. - Chcemy przecież zagrać Daynie na nosie, nie?

- Oczywiście.

- No dobra, elfy i kucyki. Zapisz.

Joe nabazgrał szybko kilka słów i zamknął notes.

- Świetnie. Dzięki, Fliss. - Zerknął na zegarek i wstał. - Za pięć minut zaczynam dyżur, a ty pewnie jesteś zajęta, więc się zmywam.

- Siadaj - rzekła stanowczo. - Nie zrobiliśmy jeszcze porządnej listy.

- Co masz na myśli?

- Musimy omówić kwestię kostiumów, dekoracji i jedzenia. Zrobić listę zakupów. A masz prezent dla Sam? Jakie gry zaplanujemy i co włożymy do paczek, które damy dzieciom do domu? Kto nadmucha balony i upiecze tort? Wiesz, że nie mogę tego sama zrobić. Zaproponowałam ci, że pomogę, a nie że sama wszystko zorganizuję.

- Jasne! O mój Boże! - Joe usiadł, otworzył notes i przybrał zamyśloną minę, choć w środku aż skakał z zachwytu. Przez następne dwa tygodnie tyle rzeczy muszą omówić. Pewnie razem zrobią zakupy. I spędzą trochę czasu w domu Fliss, rozwieszając dekoracje. Cudownie. Po prostu fantastycznie.

Była bardzo przejęta organizowaniem przyjęcia dla Samantha, a do Garetha Harveya podczas dyżurów dobiegały czasem strzępy dziwnych rozmów. Na ogół rozmowy te zaczynały się całkiem zwyczajnie.

- No więc co myślisz o panu Stephensie? - zapytała Felicity, widząc, że Joe opuścił salę reanimacyjną.

- Masz rację, jeśli chodzi o zmiany patologiczne na tomogramie. Są małe zmiany, które jednak mogły spowodować atak. Podaliśmy mu na razie środki przeciwdrgawkowe, i zamierzamy go obserwować. Chyba wkrótce go zoperujemy. Miejmy nadzieję, że to nic złśliwego.

- Uhm. - Sprawiała wrażenie zadowolonej z odpowiedzi. - A co postanowiłeś w sprawie elfów? Tylko skrzydła i różdżki, czy idziemy na całość i zamawiamy stroje?

Ku zdumieniu Garetha, Joe zmarszczył czoło.

- Chyba tylko skrzydła i różdżki - odparł poważnie.

- Moglibyśmy zrobić kolorowe opaski na włosy, znalazłam też puszkę błyszczącego lakieru - oznajmiła z radością. - Nietoksycznego. Wygląda jak bajkowy pył... - Spostrzegła dziwną minę Garetha i odchrząknęła. - A więc jaką dawkę fenytoiny zaordynowałeś panu Stephensowi, Joe?

Czasami Gareth zastanawiał się, czy Joe przychodzi na ich oddział li tylko w sprawie pacjentów. Pewnego dnia przyniósł wielką papierową torbę, której zawartość ogromnie Felicity zainteresowała.

- Och, świetnie. Jakie kolorowe. Nie chcemy być zbyt infantylni i ograniczać się do niebieskiego. Trudno je było znaleźć?

- Skąd. Pojechałem do tego sklepu, o którym mi mówiłaś. Mogą nam przygotować prawie wszystko, co potrzebujemy.

W drugim tygodniu wizyty Joego stały się jeszcze częstsze. Oboje wymieniali jakieś notatki.

- Nie zapomnij o marchewce - przypomniała Felicity, a Joe zapisał to dziwne polecenie.

- A w końcu wybraliśmy truskawki czy czekoladę?

- Czekoladę - odrzekła zdecydowanie.

Zrobienie tortu nie było jednak takie proste. W przeddzień przyjęcia Felicity uniosła do góry łyżkę z przygotowywaną polewą czekoladową i westchnęła.

- Nic nie rozumiem. Ciągłe jest za rzadka.

Joe podniósł na nią wzrok znad sterty kolorowych baloników pokrywających podłogę wiejskiej kuchni.

- Ale smak na pewno ma wyborny. Nie martw się. - Uśmiech Joego tylko częściowo można przypisać temu, że chciał Fliss pocieszyć. Przede wszystkim sam miał doskonały nastrój. Oto siedział w domu Fliss i widział ją w stroju

innym niż szpitalny. W dzinsach, miękkim swetrze, z rozpuszczonymi włosami. Wyglądała świetnie.

- Może zgęstnieje w lodówce. - Nadal miała zmartwioną minę. - Nie mam czasu, żeby dalej się tym zajmować. Musimy skończyć dekoracje i wymyślić trasę poszukiwania skarbu.

- Jak ci poszło ze strzałkami i instrukcjami?

- Przecież ty miałeś to zrobić - jęknęła. - Chyba z tego wszystkiego napije się wina.

Godzinę później siedzieli w kuchni przy opróżnionej butelce wina i śmiali się bezradnie.

- No dobra. A może to, mam na myśli szopę. „Malutki domek, ciemny i groźny. Pajaki odeszły, by zrobić miejsce elfom”.

- Okropne! - oświadczył Joe.

- Nie gorsze niż twoje. - Felicity podniosła kartkę. -,„Jeśli to znajdziesz, spotka cię szczęście. Są tam pióra, lecz nie są to pióra kaczek”.

- Co ci się w tym nie podoba? Mówiłaś, że w ogrodzie jest kurnik.

- Tak, ale nie ma kur. Ani piór. Rodzice już dawno przestali trzymać drób.

- Zawsze tu mieszkałaś?

- Wyjechałam dopiero na studia. Wróciłam kilka lat temu, kiedy umarła mama, a ojciec zachorował. Trochę mi głupio mieszkać tu samej, ale nie mogę jakoś sprzedać tego domu.

- Rozumiem cię. To piękny dom.

Przybył tu w świetle dnia i zachwyił się tym pełnym zakamarków, piętrowym domem. Weranda była obrośnięta krzewami wistarii, które lada moment miały zakwitnąć. Gęsto zarośnięty ogród, otoczony wysokimi starymi drzewami, stanowił dla domu znakomite tło.

- Jest za duży, a ogród dziczeje. - Miała nadzieję, że Joe nie usłyszy nostalgii w jej słowach. Uśmiechnęła się radośnie.

- Chodź, weźmiemy pochodnie i zaczniemy szperać. Musimy poukrywać instrukcje, a skarb schowamy w starym kurniku.

- Wzięła torbę z czekoladowymi monetami. - Dzieciaki będą tak przejęte, że nie zauważą braku piór.

Na dworze było ciemno i zimno, ale przygotowywanie zabawy sprawiło im wielką przyjemność. Felicity nie mogła się doczekać przyjęcia, żałowała jednak, że jutro o tej porze będzie już po wszystkim. Czy po urodzinach córki Joe zechce się z nią spotkać? Dziś po raz pierwszy byli razem poza szpitalem i miała nadzieję, że dzięki temu trochę się do siebie zbliżą. Ale tyle mieli zajęć, że zrobiło się bardzo późno i Joe szykował się właśnie do wyjścia.

Po raz ostatni zerknął na dekoracje i jedzenie na kuchennym blacie. Przy drzwiach wejściowych na dzieci czekał stos tiulowych skrzydeł, różdżek i opasek do włosów. Paczki ze słodyczami zostały dyskretnie schowane pod stolikiem w holu, do czasu aż dzieci zaczną wychodzić.

- Tyle zadałaś sobie trudu - powiedział. - Nie wiem, jak mam ci dziękować.

- Sprawilo mi to przyjemność - odrzekła. - Naprawdę.

Joe miał taką minę, jakby chciał ją pocałować. Chciała, by to zrobił. A może to ona powinna pocałować jego? Powstrzymała ją od tego jedynie myśl, że w takich sytuacjach nigdy nie robiła pierwszego kroku, a Joe tak jakoś dziwnie na nią patrzył. Może jej zażenowanie się udziela...

- To już lepiej pójde. Do zobaczenia, Fliss.

- Do zobaczenia. I nie martw się, Joe. Przyjęcie na pewno się uda.

Joe nie martwił się. Nawet gdyby przyjęcie skończyło się totalną klapą, i tak uznalby je za udane. Odetchnął głęboko, siadając za kierownicą. Do diabła, to była chyba najtrudniejsza rzecz w jego życiu - nie pocałować Fliss na pożegnanie. Przez jego głowę przemknęła nawet myśl, że chętnie by ją porwał w ramiona i zaniósł na górę do sypialni...

Przez ułamek sekundy nawet myślał, że Fliss nie miałyby nic przeciwko temu. Musiała czegoś się domyślić, bo nagle na jej twarzy pojawił się wyraz... niepewności? Zastanawiała się, jak mogłaby go powstrzymać, nie obrażając go jednocześnie? W końcu nie odważył się zaryzykować.

No cóż, teraz przynajmniej są przyjaciółmi. I wyraźnie jego towarzystwo jej odpowiada. To przyjęcie otworzyło mu oczy. Odkrył wspaniałą wyobraźnię tej kobiety, jej zapał w podejmowaniu trudnych spraw, jej wspaniałomyślność i poczucie humoru. Uznał, że jest w niej po uszy zakochany, toteż nie będzie niczego ryzykował, dopóki się nie przekona, czego Fliss naprawdę chce. Miał odczucie, że stanie się to szybko.

Jechał przez pogrążone w mroku ulice przepelniony radosnym oczekiwaniem. Chyba po raz pierwszy w życiu. To będzie na pewno wspaniałe przyjęcie.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Sam. Samantha odwinęła papier z małej paczki.

- Piórniki! - oznajmiła zachwycona. - Popatrz, tato! Są tu mazaki, linijka i wszystko!

- Wspaniale nadaje się do szkoły. To chyba dobrze, że Fliss o tym pomyślała?

Samantha kiwnęła głową.

- Tata dał mi plecak - poinformowała Felicity. - A piórniki włożę do środka.

- Mam nadzieję - odrzekła Felicity z uśmiechem. - Ale niedługo zaczną się schodzić goście. Czy chciałabyś już teraz założyć skrzydła?

- Nie. Chciałabym pobawić się z Rustym.

Psi ogon załomotał o podłogę. Stary rudzielec przysunął się do Samantha, ona zaś zarzuciła mu ramiona na szyję i entuzjastycznie cmoknęła w nos.

- Mogłabym mieć psa, tato? Takiego jak Rusty?

- Któregoś dnia... - Joe pogładził córkę po włosach, Felicity się uśmiechnęła. Jaka w nich zaszła zmiana w porównaniu z poprzednim razem.

- Kiedy?

- Kiedy znajdę dla nas dom.

- Mama mówi, że pojedę z nimi do Australii.

- Naprawdę? - Dziewczynka nie dostrzegła złości w twarzy ojca, bo pobiegła po piłkę, której Rusty nie miał zamiaru szukać. Niemniej pies chętnie ruszył za nią. - Nie ma prawa. - Potrząsnął głową. - Muszę coś z tym zrobić.

- Na kiedy planują przeprowadzkę?

- Chyba dopiero pod koniec roku.

- Wobec tego jest mnóstwo czasu. Popatrz, czy to nie samochód Dayny?

- Uhm. - Joe wskazał drugi samochód. - A to moi rodzice. Mam nadzieję, że mama nie prowadzi. Ma coraz słabszy wzrok z powodu cukrzycy.

Usłyszała przygnębienie w jego głosie. Dotknęła lekko jego ramienia.

- Postaraj się nie popsuć dzisiejszego dnia, Joe. Im bliżej będziecie z Sam, tym wam będzie łatwiej. Musisz znaleźć jakieś lokum i pokazać Daynie i Nigelowi, że stwarzasz Sam odpowiednie warunki. Sam jest twoją córką i Dayna na pewno to zrozumie.

- Nie znasz jej - spojrzał na nią - ale wkrótce poznasz. Chodźmy się przywitać.

W ciągu pół godziny poprzedzającej przybycie gości Felicity poznała Daynę aż za dobrze. Ubrana była w przylegającą do ciała suknię ze znakomicie dobranym żakietem. Jej jasne, długie do ramion włosy były na końcach równiutko podkrecone - nie wymykał się żaden kosmyk. Felicity wolałaby spędzić czas z rodzicami Joego, Dayna jednak koniecznie chciała obejrzeć dom i ogród.

- Jak Joe zdołał cię namówić do zorganizowania tu przyjęcia?

- Sama mu to zaproponowałam - odparła Felicity uprzejmie. - Do niczego nie musiał mnie namawiać.

Dayna przystanęła na podeście schodów.

- Nie chciałabym odkurzać tak dużego domu.

- Ani ja. - Felicity szeroko się uśmiechnęła. - Dlatego na większości mebli można napisać swoje imię.

- Czy masz ogrodnika? - spytała Dayna, wyglądając na zewnątrz przez okienko na podeście.

- Nie.

- To nie wiem, jak sobie radzisz z tym ogrodem.

- Nie radzę. Dalej zobaczysz jeszcze lepsze chwasty. Gdy potem weszły do kuchni, Dayna ogarnęła wzrokiem tace z pizzą, bułeczki z kiełbaskami i owocowe szaszłyki.

- U kogo zamawiałaś jedzenie?

- Sami wszystko przygotowaliśmy - odrzekł z dumą Joe z przyległego pomieszczenia. - Z wyjątkiem kucyków.

- Kucyków? - Dayna sprawiała wrażenie zbitej z tropu.

- To już chyba przesada, co? - Zauważyła, że Joe robił herbatę dla rodziców. - Chętnie bym się napiła - oznajmiła.

- Albo może kieliszek wina.

- Zaraz ci przyniosę. - Joe napotkał spojrzenie Fliss.

Nie musieli wymieniać się uśmiechami. Oboje w duchu cieszyli się z tego, że tak wspaniale zorganizowali to przyjęcie i że mogą to zademonstrować Daynie.

- Nie całuj tego psa, Samantho - rzekła Dayna. - Psy mają robaki.

Nigel i synowie zniknęli gdzieś w ogrodzie wraz z innymi dorosłymi, którzy przywieźli dziewczynki. Wszystkim gościom założono skrzydła, wręczono różdżki, Felicity zaś rozpyliła na ich włosach i ubraniach bajkowy pył.

- Nie jest toksyczny - zapewniła Daynę. - I spiera się z ubrań.

- Elfy! - skomentował czternastoletni Andrew z niesmakiem. Na buzi dziesięcioletniego Scotta pojawił się identyczny grymas. - Czy macie PlayStation?

- Nie. A nie chcielibyście poszukać skarbu?

- Możecie sobie pograć na moim komórkowcu - powiedział Nigel. - Tylko najpierw w parę miejsc zadzwonię.

Wobec tego tylko Joe i Felicity z grupką zachwyconych elfów zabawili się w poszukiwaczy skarbów. Rusty poszedł za nimi, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości od różdżek. Potem, już na podjeździe, Joe pomagał dzieciom przy przejazdach ustrojonymi w skrzydła kucykami, a Fliss zabawiała elfy, nie mogące się doczekać na swoją kolej.

Rodzice Joego stali nieopodal, uśmiechając się do wnuczki. Dayna i Nigel siedzieli na tarasie przy butelce wina. Obaj chłopcy nie potrafili się dogadać w sprawie równego dostępu do telefonu i został on im odebrany. Krążyli wokół z pośępnymi minami, czekając na podanie lunchu.

- Dobrze, że przygotowaliśmy dużo jedzenia - szepnęła

Felicity do Joego. - Trudno uwierzyć, że Scott pochłonął aż tyle bułek z kiełbaskami.

Dayna też by nie uwierzyła, gdyby nie widziała tego na własne oczy.

- Nie przejmuj się - rzekła do niej Felicity. - Na każdym przyjęciu ktoś się musi rozchorować z przejedzenia.

- Nawet bez dmuchanych zamków - dodał Joe.

Dayna spojrzała na niego beznamiętnie i zmarszczyła czoło.

- Mam nadzieję, że nikt się nie rozchoruje. Świadczyłoby to o zatruciu.

- Wykluczone - odparł Joe. - Myślę jednak, że powinnaś zabrać Scotta do domu. Nie wygląda dobrze.

- Poczekam do końca przyjęcia, żeby zabrać też Samanthę.

- Dziś zostaje u mnie. Jest weekend i nie mam dyżuru. Dayna otworzyła usta, najwyraźniej gotowa zaproponować inne rozwiązanie, kiedy wtrącił się Nigel:

- Na nas już czas, Dayna. Joe przywiezie Sam, kiedy uzna to za stosowne. Jeszcze raz złożmy jej życzenia i pożegnajmy się ze wszystkimi.

- My też musimy jechać, synu - odezwał się ojciec Joego. - Twoja matka wygląda na zmęczoną. - Poklepał syna po ramieniu. - Wspaniałe było to przyjęcie. Sam jest zachwycona.

Dziewczynka istotnie wyglądała na szczęśliwą. Kiedy dzieci oblizwały palce z polewy czekoladowej, uradowana Sam rozpakowała prezenty. O wyznaczonej godzinie rodzice przybyli po swe dzieci i nagle dom oraz ogród opustoszały. Joe i Felicity zostali sami, w towarzystwie jednego zmęczonego, lecz bardzo zadowolonego elfa.

- Chyba już zabiorę ją do domu.

- Musisz? Właśnie chciałam zrobić nam kawę.

- Wygląda na bardzo zmęczoną.

- Może się przespać tutaj. Mam gościnne łóżka. - Felicity zajmowała główną sypialnię, jej dawny pokój jednak nadal nadawał się do użytku. - Sam, chciałabyś zobaczyć pokój, w którym spałam, kiedy byłam w twoim wieku?

- A Rusty może ze mną pójść?

- Oczywiście.

Pokój dziewczynce bardzo się spodobał. Miał on skośne ściany i okno wychodzące na ogród na tyłach domu. Zapadł zmrok, gdy wreszcie Sam dała się oderwać od starego pudła z zabawkami i położyć spać.

- Musimy odczepić skrzydła, kochanie.

- Dlaczego? Podoba mi się bycie elfem.

- Ale nie będzie ci w nich wygodnie, i mogą się pogiąć. Zobacz, położymy je tutaj i Rusty ci ich popilnuje.

- Dobrze.

Opaska na włosy i różdżka dołączyły do skrzydeł, bajkowy pył jednak pozostał na włosach Sam, kiedy ta przyłożyła głowę do poduszki i zasnęła. Joe i Felicity zeszli na dół do kuchni. Duży rady pies nie miał zamiaru opuszczać swego miejsca przy łóżku małej dziewczynki.

Felicity usiadła na końcu starego drewnianego stołu, Joe zaś postawił przed nią kubek kawy i zajął miejsce obok.

- Powinnam tu trochę posprzątać. - Patrzyła na stół. Po torcie pozostały tylko okruchy, a pięć wypalonych do połowy świeczek tkwiło w polewie zakrywającej dno patery.

- Sprzątanie może poczekać - odparł Joe. - Pomogę ci.

Ale teraz potrzebuję paru minut, żeby cię pochwalić za fantastyczną robotę.

- Zrobiliśmy to oboje.

- Bez ciebie niczego bym nie zdziałał. W oczach Sam urosłem na bohatera.

- Zawsze byłeś w jej oczach bohaterem, a bycie rodzicem nie ogranicza się do urządzania przyjęć. One zapisują się dobrze w pamięci tylko wtedy, kiedy dziecko z rodzicem łączy bliska więź.

Joe pokiwał głową.

- No tak, sama uroczystość jest jak ta polewa na torcie.

- A propos polewy, to zupełnie się nie udała. - Przesunęła palcem po czekoladowej mazi. - Za rzadka. Następnym razem lepiej się postaram. - Polizała palec. - Ale smak ma dobry.

W tej samej chwili przeniosła wzrok na Joego. Płomień, jaki dojrzała w jego oczach, uświadomił jej, że rozbudziła w nim pożądanie. Sama je zresztą czuła, i to od pierwszego dnia. Bez słowa ponownie zanurzyła palec w polewie i powoli podniosła go do ust, nie spuszczać z Joego oczu. Joe chwycił ją za nadgarstek i oblizał palec.

- Masz rację - mruknął. - Smak ma bardzo dobry.

Nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Czowała, że się roztopia. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją tak silne pożądanie, że nie mogła się wręcz ruszyć. Patrzyła tylko, jak Joe kładzie jej rękę na stole, sam zaś nabiera na palec odrobiny polewy i rozprowadza ją na jej dolnej wardze. Zabrakło jej powietrza, gdy pochylił ku niej głowę.

Ich pocałunek miał smak czekolady. I czekoladą pachniał. Felicity poczuła, jak Joe ujmuje jej twarz i przechyla na bok głowę, szukając wygodniejszej pozycji. Jej dłonie zaczęły szukać jego ciała, by zbliżyć je do siebie i by przedłużyć pocałunek. Skończył się jednak, i to bardzo szybko. Joe wyglądał na tak zdumionego, jak ona parę minut temu.

- Chyba zawsze - rzekła z uśmiechem - będę robiła za rzadką polewę.

- To chyba... bardzo dobra myśl - odparł z trudem.

Zaprzagnęła następnego pocałunku. Albo i czegoś więcej, lecz nagle poczuła się zawstydzona. Może Joe pomyśli, że mu się narzuca, jeśli uczyni kolejny ruch.

- To wezmę się za porządki - zasugerowała.

- To nie jest dobry pomysł - zaprotestował. - Mam dużo lepszego.

- O? A jaki?

- Chyba powinniśmy jeszcze trochę popróbować tej polewy. W łóżku - dodał miękko głosem. - Sam śpi jak kamień. Pewnie się nie obudzi nawet w drodze do domu.

- Moglibyśmy się upaprać tą polewą - wykrztusiła.

- Jestem pewien, że bez niej smakujesz też wspaniale - rzekł z uśmiechem. - Czy mam się o tym przekonać?

W odpowiedzi wyciągnęła rękę, a gdy Joe pomagał jej wstać z krzesła, zerknęła na paterę. Ta polewa czekoladowa nie będzie już im potrzebna. Nic a nic.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- O mój Boże!

Ta reakcja nie należała do profesjonalnych, jednak Felicity w duchu mu przytaknęła.

- Tak się cieszę, że masz dyżur, Joe. Nie wiedzieliśmy, czy najpierw dzwonić na ortopedię, chirurgię czy chirurgię naczyniową. A dzięki tobie mamy trzy w jednym. - Uśmiechnęła się cierpko. - Tłoczno tu dziś. Nawet na rentgenie świetnie się bawią.

- Wcale mnie to nie dziwi. Wygląda bardziej na atak rekina niż zderzenie z betoniarką. Ile David ma lat?

- Dwadzieścia siedem.

- Na ile jest stabilny? - spytał Joe, uważnie oglądając poszarpane przedramię nieprzytomnego mężczyzny.

Z raportu dowiedział się, że w chwili przybycia stan pacjenta był bardzo poważny. Utrata dużej ilości krwi zagrażała życiu. Ciśnienie było tak niskie, że nie dawało się zmierzyć. Został intubowany, ale nasycenie tlenem nadal pozostawiało wiele do życzenia. Konieczna była transfuzja krwi, czekali jedynie na wynik próby krzyżowej. Joe oceniał obecnie stan rozerwanych mięśni i złamanych kości. Z wielu miejsc nadal sączyła się krew.

- Nie możemy powstrzymać krwotoku - wyjaśniła Felicity. - Nie chciałam zakładać opaski uciskowej, bo może rękę uda się uratować. Kręgosłup i klatka piersiowa na zdjęciu są w normie, a powtórne badanie nie wykazało poważnych urazów.

Joe uniósł brwi, napotykał wzrok Felicity.

- Myślę, że to dosyć.

- Nieźle, co? Mały palec został urwany. Trzymamy go tam, w lodzie.

- Kość może się przydać do przeszczepu. Zabierzemy ją na blok operacyjny.

- Czy on ma szansę zachować rękę?

- Oczyszczymy ranę i wtedy ocenimy. - Joe kiwnął głową w stronę stojącego obok chirurga. - Możesz nałożyć z powrotem ten opatrunek. Przynajmniej ochroni trochę przed infekcją. - Zwrócił się do Felicity. - Jakie antybiotyki zaleciłaś?

- Cefalosforyn i gentamycynę. Dostał też szczepionkę przeciwężcową.

- Dobrze. - Joe przesunął się do podświetlonych tablic. - Główka kości promieniowej strzaskana - oznajmił - ale łokieć da się uratować. Stan palców dosyć marny, niewiele też zostało z trzonu śródreżczy.

- Przeszczep jest możliwy?

- Zależy, ile odzyskamy fragmentów kości. - Joe uśmiechnął się ponuro. - I od tego, ile w tym wszystkim jest cementu. Złamania jednak to nie problem. Znacznie gorsze są ścięgna, nerwy i żyły. Pozszywanie tego potrwa długo.

- Chętnie bym popatrzyła. Kończyłam dyżur, kiedy go przywieziono. Czy w operacyjnej zmieści się dodatkowa osoba?

- Jeśli tą osobą masz być ty, to jasne. - Twarz Joego wypogodziła się na chwilę. - Chodźmy - dodał, wyjmując zdjęcia. - Czekają na nas.

Przy operacji ratowania ręki Davida Carra asystowali chirurdzy różnych specjalności, najwięcej jednak robił Joe. Mięśnie, ścięgna i naczynia krwionośne zostały starannie połączone. Mikroskop operacyjny przydał się do robienia połączeń nerwowych. Gdy w pewnej chwili Felicity spojrzała na zegar, skonstatowała ze zdumieniem, że minęły już aż cztery godziny. Zafascynowała ją ta operacja, a Joe wywarł na niej takie wrażenie, jak chyba nigdy dotąd. To było jak powtórka wykładu z anatomii - bo Joe nieustannie wyjaśniał, co robi. Patrząc na niego, uznała, że jest wybitny w swym zawodzie.

Oczarowana była nie tylko jego umiejętnościami. Od czasu przyjęcia Sam minęły dwa tygodnie, podczas których ona i Joe zostali kochankami i odkryli, że

łączy ich bardzo głębokie uczucie. Poza pracą kontaktowali się codziennie. Albo do siebie dzwonili, albo umawiali się na kawę, albo na kolację, kiedy mieli wolny wieczór. Jeden z ich niewielu wspólnych wieczorów skończył się przedwcześnie, albowiem do Joego zadzwonił ojciec z wiadomością, że matka się źle czuje. Joe znalazł się w rozterce.

- Jedź do mamy - powiedziała wtedy. - My mamy mnóstwo czasu, a twoja mama może go już nie mieć.

Poprzedniej niedzieli Joe z Samanthą przyjechali do Felicity na cały dzień, ten tydzień jednak oboje mieli tak wypełniony pracą, że dopiero w środę wieczorem znaleźli dla siebie dwie godziny, a potem Joe udał się na dyżur. Wtedy to po raz pierwszy Felicity znalazła się w jego mieszkaniu - i zrozumiała, dlaczego szukał domu.

Joe mieszkał w budynku przy ruchliwej ulicy, który urodą przypominał motel. Mieszkanie Joego znajdowało się na piętrze, a wiodły do niego żelazne schody i prowadzący wzdłuż budynku pasaż, który strasznie dzwonił i klekotał, ilekroć ktoś po nim przechodził. Okna salonu i sypialni wychodziły właśnie na ten pasaż i trzeba było zasłaniać okna, by stworzyć poczucie prywatności.

- Jest okropne - sumitował się Joe - ale tymczasowe.

- Wręczył Felicity klucz. - Zapasowy. Chciałbym, żebyś mogła wejść do środka, gdybyś na przykład chciała się ze mną zobaczyć i mnie nie zastała. Możesz zrobić sobie kawę.

Ona jednak nie dała mu klucza do swego domu. Choć prawdę mówiąc, od owej środy nie miała nawet czasu z nim pogadać. Teraz, gdy kończyła się operacja Davida, zaczynał się kolejny piątek i Felicity chciała wreszcie porozmawiać z Joem. Miała zamiar mu zaproponować następną wizytę Samanthy w jej domu.

Joe wyglądał na wyczerpanego, gdy zdejmował maskę i rękawiczki. Jego policzki pokrywał ciemny zarost, wokół oczu pojawiły się zmarszczki. Felicity

musiała powstrzymać chęć pogłaskania go po twarzy, by wyrazić sympatię i poczuć ciepło skóry. W pracy unikała kontaktów innych niż słowne.

- No i jak ci się to podobało, Fliss? - Twarz Joeego rozjaśnił uśmiech. -

Masz ochotę zostać neurochirurgiem?

- Chyba żartujesz! Miałabym problemy z nazwaniem

połowy tych naczyń, które z sobą łączyłeś. To wprost niewiarygodne, Joe.

Masz naprawdę rzadki talent.

- Często wystarczy skrupulatność. I cierpliwość. - Joe przyjrzał się jej twarzy. - Jesteś zmęczona. Przecież już dawno skończyłaś dyżur. Która jest godzina?

- Pierwsza w nocy. A kiedy ty kończysz?

- Skończyłem godzinę temu. Zapraszam cię na kawę.

- Cudownie.

W całonocnej kawiarni nieopodal szpitala podawano wspaniałe cappuccino. Kiedy Joe odpowiadał na pytania Felicity dotyczące operacji, wypili pierwszą kawę, toteż zamówili drugą.

- Jutro pracujesz?

- Do piątej po południu.

- Aha - mruknęła rozczarowana. - A więc nie pójdziesz nigdzie z Sam.

- Zobaczę się z nią na kolacji. - Spojrzał na Felicity z namysłem. - Dayna ciebie także zaprosiła.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona.

- Sam jej opowiedziała o wizycie w twoim domu. Felicity zagryzła wargi.

- Ona przynajmniej nie wie, do której u mnie byłeś. Nie budzi się, nawet kiedy przenosisz ją do samochodu.

- Obawiam się, że Dayna wszystkiego się domyśli.

- Dlaczego? Czy nie dlatego między innymi opiekowała się Sam, żebyś kogoś sobie znalazł?

- Teoretycznie. Kiedy się zorientuje, że to coś poważnego, uzna to za zagrożenie.

Felicity poczuła dreszcz.

- A czy to coś poważnego, Joe?

- Mam nadzieję. - Ujął jej rękę. - Zakochałem się w tobie, Fliss. Kto by pomyślał, że jeszcze coś takiego mi się przydarzy.

- Ja też cię kocham - odparła szeptem.

- Nie chcę cię poganiać. Znamy się dość krótko.

- Może to wystarczy. Wiem, co czuję, Joe. Nigdy nie myślałam, że będzie to takie silne. - Uśmiechnęła się. - Przykro mi, że tak długo uważałam cię za aroganta i niewiernego męża. Co za strata czasu.

- Nadrobimy to.

- Dobrze.

- Może zaczniemy już teraz? - Palce Joego gładziły dłoń Felicity, jego oczy nie odwracały się od jej twarzy.

- Trochę to mało prywatne miejsce, co?

- Wracajmy do domu. Rusty pewnie za tobą tęskni. Cały dzień cię nie widział. - Mocniej ścisnął jej dłoń. - Ja też za tobą tęsknię, chociaż widziałem cię dziś ze trzy razy.

Dopiero znacznie później, gdy już leżeli przytuleni, Felicity przypomniała sobie początek ich rozmowy.

- Co odpowiedziałeś Daynie w sprawie tej kolacji?

- Że zapytam cię, czy masz wolne.

- Chcesz, żebym miała wolne?

- Oczywiście - wyszeptał, całując ją w usta. - Chciałbym, żebyś była wolna jak najczęściej.

Uśmiechnęła się, tuląc się do niego mocniej.

- Nie o to pytam. Chodzi o to, czy chcesz, żebym z tobą poszła na tę kolację.

- Może ci się nie spodobać.
- Dlaczego? Dayna tak źle gotuje? Joe zachichotał.
- Jej posiłki są perfekcyjne. Dobrze, że nie próbowała mojego gotowania, bo wtedy miałyby prawdziwy powód, żeby się martwić o przyszłość Sam. - Ucałował Felicity w szyję i cicho westchnął. - Po prostu boję się, że skomplikowane układy w mojej rodzinie mogą cię do mnie zniechęcić.
- I tak już jestem w to wmieszana.
- Dayna miewa dziwne pomysły. Nie chcę, żeby Sam posłużyła jej za pionek.
- Ja też nie, ale trzeba to załatwić. Sam jest twoją córką i ty się masz nią zajmować. Nie rozwiążesz tego w pojedynkę. Chcę pójść na tę kolację, Joe.
- Dobrze. Przyjadę po ciebie zaraz po dyżurze.
- O której zaczynasz?
- O siódmej rano.
- Aha. - Cmoknęła go w ramię. - To teraz lepiej śpij. Jest okropnie późno.
- Chyba masz rację. Ty też śpij.
- Ja sobie poradzę. Mam jutro wolne. Joe przesunął dłonią po jej plecach.
- Właściwie to wcale nie mam ochoty na spanie...

Nic dziwnego, że wieczorem był zmęczony.

- No widzisz? - powiedziała, gdy przyjechał.
- Warto było... - Przyciągnął ją do siebie i pocałował. - A może teraz byśmy wpadli na chwilę do sypialni?
- Teraz nie możemy. - Uśmiechała się, lecz w jej głosie brzmiało zdenerwowanie. - Dayna czeka i nie chcę zrobić złego wrażenia, spóźniając się. Chyba się jej boję.
- I masz powody - odrzekł z rezygnacją.

Pesymizm Joego okazał się jednak nieuzasadniony. Gdy dotarli do wielkiego domu Jacksonów na wzgórzach Cashmere z widokiem na Christchurch, Dayna przywitała ich serdecznie.

- Joe, cudownie cię widzieć. - Stanęła na palcach, by położyć dłonie na jego ramionach i nastawić policzek do pocałunku. - A to Felicity, prawda? - Odwróciła się z czarującym uśmiechem w stronę drugiego gościa.

- Wolę Fliss - odparła i przywitała się z gospodynią.

- Fliss! Fliss! - Z góry pędem zbiegła Samantha. Miała na sobie piżamę, a jej skrzydła elfa dziwnie kontrastowały z różowymi misiami na flaneli. - W szkole narysowałam dla ciebie obrazek - oznajmiła z dumą mała. - To Rusty.

- Naprawdę? - rzekła Felicity zaskoczona. - Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

- Za pięć minut idziesz spać - przypomniała Dayna. Felicity zauważyła, jak radosny uśmiech Joego gaśnie.

- Chyba dzisiaj może zostać chwilę dłużej? Przez cały tydzień prawie jej nie widziałem.

- No dobrze, chwilę - ustąpiła Dayna.

Felicity odwróciła wzrok. Czy Dayna zawsze mówi, ile czasu wolno Joemu widzieć się z córką? Jak Joe mógł dopuścić do takiej sytuacji?

- Poczytasz mi, tatusiu?

- Oczywiście, kochanie.

Felicity zauważyła zabawkę pod pachą Sam, gdy dziewczynka szła wraz z nimi do części wypoczynkowej.

- Puf Puf Snowball jest biały jak śnieg! - zawołała.

- Wykapałam go u tatusia.

- Ale sechł kilka dni, Joe - wtrąciła Dayna. - Powinno się go oddać do pralni chemicznej albo uprać w pralce. Wilgotne zabawki to pożywką dla grzybów i mogą wywołać astmę.

- Naprawdę? - Joe dyplomatycznie nie zaprotestował. A stając przy dębowej szafce, spytał: - Czy mogę zrobić nam po drinku?

- Oczywiście. Ja poproszę szkocką. - Dayna usiadła z wdziękiem na skórzanym fotelu, wtapiając się w eleganckie otoczenie pomieszczenia.

- Fliss, co ci podać?

- Kieliszek białego wina, jeśli można. - Rozejrzała się dyskretnie wokół, zajmując miejsce na brzegu skórzanej kanapy. Olbrzymi pokój został oddzielony od jadalni lukowym sklepieniem. W głębi było widać stół przykryty białym obrusem, a na nim świece oraz cztery nakrycia. A więc nawet chłopcy nie zjedzą z nimi kolacji. Felicity upiła łyk wina, podczas gdy Sam zajęła miejsce obok niej.

- Spałam na kanapie u tatusia - poinformowała Fliss.

- Czy jest taka śliska jak ta?

- Nie. - Dziewczynka uśmiechnęła się. - Spadłabym wtedy. A czy mogę znowu pospać u ciebie w łóżku? Z Rustym?

Felicity poczuła, jak Dayna przeszywa ją spojrzeniem. Dłoń Joego zawisła w powietrzu, gdy nalewał sobie wino.

- Spałaś u Felicity? - Spokojny ton nie oszukał nikogo z wyjątkiem małej. - Nie mówiłeś mi o tym.

- Bo to nic takiego - odparł Joe równie spokojnie. - Po przyjęciu Sam była zmęczona i zdrzemnęła się, kiedy ja pomagałem Fliss sprzątać. - Podeszedł do kanapy i przysiadł obok nich. - Gdzie jest Nigel?

- Pracuje dziś do późna. - W szklance Dayny zadźwięczały kostki lodu. - Jak zwykle.

- A jak było w szkole, Sam? - Ramię Joego przygniotło nieco skrzydła, lecz Sam tego nie zauważyła, przysuwając się do ojca bliżej. - Dalej ci się tam podoba?

- Uhm. Szkoła jest fajna.

Felicity poczuła, że Dayna nie obserwuje jej już tak intensywnie. Może powinna była lepiej się ubrać? Joe nie ostrzegł jej, że ten dom jest bardzo elegancki. Spodziewała się poza tym, że idzie na rodzinną kolację w towarzystwie dzieci, toteż w dżinsach i wełnianym sweterku czuła się trochę nie na miejscu. Joe miał na sobie eleganckie spodnie i koszulę, jakie nosił w szpitalu, toteż jego strój w tym wnętrzu nie raził. Felicity upiła następny łyk i pomyślała, że gdyby się ubrała jak do pracy, i tak nie byłaby w stanie dorównać Daynie, która w kremowych lnianych spodniach i jedwabnej bluzce wyglądała jak z zurnala. Toteż przestała się martwić swoim strojem, energię zaś postanowiła spożytkować na utrzymanie dobrego kontaktu z gospodynią.

- Musisz daleko wozić Sam do szkoły - zauważyła, zmieniając temat. - Ona jest w mojej części miasta.

- Chłopcy jeżdżą do St Christopher's. - Ta luksusowa prywatna szkoła znajdowała się również blisko posiadłości Felicity. - Podrzucamy więc Samanthę o tej samej porze.

Felicity pokiwała głową. Joe i Samantha rozmawiali cicho o króliczkach w szkole. Felicity szukała nowego tematu, który zapełniłby ciszę między nią a gospodynią, lecz nie było to łatwe. Czy może je cokolwiek łączyć? Dayna skończyła swego drinka i wstała, by nalać sobie następnego.

- Joe, może byś wziął Samanthę na górę i jej poczytał? Nigel wróci, kiedy skończysz, i usiądziemy do kolacji.

- Chcę, żeby Fliss też poszła - odezwała się Samantha.

- Następnym razem - zaprotestowała Dayna.

- Daj tatusiowi ten rysunek z Rustym, dobrze? Koniecznie chcę go zobaczyć - rzekła Felicity łagodnie.

- Dobrze. Dobranoc, Fliss.

- Dobranoc, kochanie. - Felicity automatycznie pogłaskała dziewczynkę po włosach. Nie spodziewała się, że małe rączki znajdą się na jej szyi, a piegowata buzia poprosi o całusa. Potem Sam wyciągnęła ręce do ojca, prosząc,

by ją podniósł. Dayna uśmiechnęła się nieco sztucznie, całując siostrzenicę, i powiodła wzrokiem za opuszczającą pokój parą.

- Ależ ona jest podobna do Catherine - rzuciła od niechcienia. - Mojej siostry. Była żoną Joego, chyba wiesz.

- Uhm. Wiem. - Felicity uśmiechnęła się ze współczuciem. Być może jest to okazja, by nawiązać prawdziwy kontakt z Dayną. - Słyszałam o tym wypadku. To musiało być okropne dla was wszystkich.

- Owszem. I wątpię, czy Joe się po tym pozbiera.

- Mówił mi, że bardzo mu pomogliście.

- Naprawdę? - Dayna sprawiała wrażenie zadowolonej.

- Mówił, że bez was by sobie nie poradził. To oznaczało dla ciebie bardzo dużo pracy.

- Ale chciałam to robić. Samantha jest częścią mojej rodziny. - Spojrzała Felicity prosto w oczy. - I tak już pozostanie.

- Oczywiście. - Czy Dayna ma zamiar wytyczać teraz granice? Dla niej Felicity zawsze będzie kimś obcym.

Wypiła wino do końca, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że Dayna wkrótce zaatakuje ją w sposób znacznie bardziej subtelny niż przed chwilą. Nagle otworzyły się drzwi i Felicity z ulgą powitała pojawienie się Nigela.

- Dobry wieczór, kochanie. - Dayna nastawiła policzek mężowi do pocałunku. - Miałeś dobry dzień?

- Taki sobie. Witaj, Fliss. Miło mi cię widzieć. - Nigel od razu nalał sobie drinka. - Wspaniałe było to przyjęcie dla Samanthy. - Podniósł do góry szklanekę. - Zdrowie.

- Uważam, że te kuce to przesada - rzuciła lekko Dayna. - Nigel, Felicity ma pusty kieliszek.

- Dzięki. - Felicity podała kieliszek Nigelowi i uśmiechnęła się do Dayny. - Mnie podobały się te kuce. Miałam nawet swojego, kiedy byłam w wieku Sam. Trzymaliśmy go w sadzie na tyłach domu.

- To całkiem ładne miejsce, ten twój dom - wtrącił Nigel. - A za tobą są chyba pola. Nie pod zabudowę, prawda?

Felicity kiwnęła głową.

- Mam tylko około hektara, ale wydaje się znacznie więcej, jeśli wliczyć w to wybiegi.

- Czy to jest twój dom? - zapytała Dayna.

- Tak. Należał do rodziców, ale już nie żyją.

- Przykro mi - rzekł Nigel. - Byłaś jedynaczką?

- Tak.

- Joe szuka domu. - Ton Dayny sugerował, że posiadanie domu może stanowić jedyny atut Felicity.

W tym właśnie momencie Felicity postanowiła, że nie będzie się starać polubić Dayny. Postanowiła także, że ta kobieta niczym jej nie urazi. Trzymała się swego postanowienia podczas przystawki z melona, którego Dayna podała wkrótce potem, oraz niemal do końca głównego dania złożonego z idealnie upieczonej jagnięciny i jarzyn. Nigel usiłował stać się jej sojusznikiem.

- A więc jesteś konsultantem na nagłych wypadkach, Fliss? To duże osiągnięcie. - Jego podziw był szczery. - A praca jest chyba bardzo ciężka.

- Zwłaszcza dla kobiety - wtrąciła Dayna i dotknęła ramienia Joego. - Może zjesz jeszcze trochę jarzyn?

- Nie, dziękuję, już wystarczy. - Joe odłożył widelec. - Dlaczego praca konsultanta ma być trudniejsza dla kobiety? Przecież to zajęcie wymaga inteligencji, a nie siły.

Dayna zaśmiała się pojednawczo.

- Miałam na myśli to, że kobieta musi być bardziej zaangażowana. I z wielu rzeczy zrezygnować. Na przykład z normalnego małżeństwa czy rodziny.

- A co to jest „normalne małżeństwo”? - zapytał Nigel z rozbawieniem, patrząc na żonę. - Na przykład nasze?

W jego głosie zabrzmiał lekki sarkazm. Felicity szybko przełknęła kęs jedzenia.

- Wiele lekarek ma rodziny - odezwała się spokojnie.

- Ale to nie to samo - zauważyła Dayna uprzejmie. - Musicie zatrudniać nianie i nie możecie spędzać dużo czasu z dziećmi.

- Zawsze można znaleźć czas na ważne rzeczy. - Felicity wiedziała, że uwagę o nianiach Joe odbierze jako krytykę. Będzie musiał zatrudnić nianię, kiedy Sam z nim zamieszka.

Chłodny ton Joego potwierdził jej podejrzenia.

- Być może jakoś czasu, jaki spędzasz z dziećmi, jest równie ważna, co jego ilość, Dayna.

- Nie w przypadku małych dzieci - ucięła Dayna. Felicity złamała swe postanowienie.

- Może znajdę męża, który zechce siedzieć w domu - rzuciła lekkim tonem. - Wtedy mogę zatrzymać pracę i nie martwić się tym, kto się opiekuje dziećmi.

Na ustach Dayny pojawił się uśmiech triumfu.

- Obawiam się, że niewielu mężczyzn uzna to za atrakcyjną perspektywę. Nigel nigdy by się nad tym nawet nie zastanowił. I jestem pewna, że Joe także. - Uśmiechnęła się słodko do szwagra. - Prawda, Joe?

- Och, nie wiem - odparł ten z namysłem. - Ma to swoje dobre strony.

Felicity zrzuciła but i delikatnie kopnęła Joego, zauważywszy napięcie na twarzy Dayny. To byłoby okropne, gdyby Joe nie pomógł jej zdenerwować szwagierki. Nie zasygnalizował jednak, że zrozumiał jej intencje.

- Ja oczywiście nie będę siedział w domu, bo nie potrafię gotować i bym umarł. W przeciwieństwie do ciebie, Dayno. To wszystko jest wspaniałe.

Jakim cudem Joe zdjął but tak niezauważalnie? Felicity omal nie zakrztusiła się cukinią, czując, jak jego stopa wsuwa się pod nogawkę jej dżinsów. Sięgnęła po szklanekę.

- To wspaniała kolacja, Dayno. Muszę wziąć od ciebie przepis na tę sałatkę z jarzyn.

Nigel dolał Felicity wody i zerknął na żonę.

- A skoro mowa o dzieciach, to gdzie są?

- Andrew został na noc u kolegi, a Scott siedzi przy Internecie.

- Spędza za dużo czasu przy komputerze.

- Rozmawia z kolegami. Założyli sobie sieć. Przynajmniej będzie mógł kontaktować się z nimi, kiedy pojedziemy do Australii. Andrew woli zostać tutaj i chodzić do szkoły z internatem.

- Nonsens.

- Nie chce rozstawać się z kolegami. To nie jest dobry okres, żeby go stąd zabierać.

- Będzie miał nowych kolegów. - Nigel odsunął talerz. - Ty nie uważasz tego za dobry pomysł, mam nadzieję? Chyba nie chcesz, żeby Scott został zupełnie sam.

- No pewnie, że nie chcę.

- Sam tu zostaje, a teraz Andrew. Czy Scotta też chcesz umieścić w internacie? - Nigel dolał sobie wina. - Czy masz za mało czasu na gimnastykę, tenisa i swoje lunchy?

- Porozmawiamy o tym później, Nigel. Teraz jest pora na deser.

Podczas tej wymiany zdań Felicity siedziała ze wzrokiem wbitym w talerz. Zerknęła na Joego, dopiero gdy Dayna wstała. Powinien był ją ostrzec, że w tej rodzinie istnieje jeszcze jedna płaszczyzna walki. Joe jednak nie patrzył na nią, bo zajęty był tłumieniem ziewania.

- Jesteś zmęczony - rzekła Dayna ze współczuciem.

- Przepraszam. Trochę za mało spałem. - Dopiero teraz spotkał się wzrokiem z Felicity i patrzył na nią na tyle długo, by poczuła przyjemne mrowienie na myśl o tym, co przeszkodziło mu w spaniu.

Dayna pochyliła się w stronę Joego, by wziąć talerz. Jedną z jej dłoni oparła się na jego ramieniu.

- Zrobiłam twój ulubiony deser, Joe. Tort bezowo-cytrynowy.

Jej dłoń pozostała na jego ramieniu o sekundę za długo. Podtekst zawarty w tym pozornie lekkim komentarzu wzbudził w Felicity bardzo nieprzyjemne podejrzenie. Dayna nie chce zatrzymać Samantha tylko dlatego, że ją kocha. Dayna chce utrzymać więź z ojcem Samantha.

Dayna pragnie mieć Joego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Dzięki Bogu, że zadzwonili ze szpitala. Już miałem tego dosyć.

- Jak się czuje David Carr? - Był niedzielny poranek. Felicity trzymała słuchawkę między głową a ramieniem, nalewając sobie pierwszą filiżankę kawy. - Znalazłeś przyczynę niedokrwienia w palcach?

- Tak. Chirurg naczyniowy zrobił drobną poprawkę. Dziś rano Daniel miał czucie w kciuku i palcu wskazującym.

- No to dobrze.

- Wkrótce może być jeszcze lepiej. I przepraszam, że wczoraj cię tak poganiałem. Wcale nie musiałem tu być, ale chciałem wiedzieć, co się dzieje.

- Skoro poświęcasz tyle uwagi pacjentowi, to zrozumiałe, że interesuje cię jego dalszy los. - Wypiła łyk kawy. - I nie przepraszaj. Chętnie od nich wyszłam. Już pojmuję, co mi chciałeś powiedzieć o Daynie. Niełatwo się z nią dogadać...

- Nigdy nie było łatwo. Kiedyś próbowała nawet stanąć między mną a Catherine, jeszcze przed naszym ślubem.

- Dlaczego? - Odniosła wrażenie, że zna już odpowiedź, lecz czy Joe jest świadomy uczuć swej szwagierki?

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Była już wtedy żoną Nigela i miała dwoje dzieci. To jej powinno wystarczyć.

Może jednak nie miała tego, na czym naprawdę jej zależało, pomyślała Felicity.

- Ona nie jest zadowolona z życia - rzekła na głos.

- Chyba nie, ale to nie mój problem - zauważył ze znużeniem. - I na pewno nie posłuży się moją córką, żeby go rozwiązać.

- A co zaplanowałaś dla Sam? Masz wolne, prawda?

- Tak. Tylko wpadłem na chwilę do Davida, a teraz jadę po Sam. Nie wiem, co będziemy robić. Masz może jakiś pomysł?

- Owszem. Miałam dziś rano gościa. Charlie Begg ma obok mnie farmę i zawsze jest o świcie na nogach.

- A dlaczego cię odwiedził? - W głosie Joego zabrzmiało podejrzenie i Felicity musiała się roześmiać.

- Charlie ma co najmniej siedemdziesiąt lat. Znam go od dziecka i uważam niemal za krewnego. Farmę Charliego prowadzi teraz jego syn, Graham. Otóż Charlie zobaczył u mnie kuce i chciał się dowiedzieć, kto jest ich właścicielem, bo przyjaciel Grahama szuka schronienia dla małego walijskiego kucyka. Jest dość leciwy i spokojny i Charlie pomyślał, że nadawałby się na przyjęcia.

- To znakomity zbieg okoliczności.

- Hm. Ja miałam inny pomysł. - Przygryzła wargi. - Pomyślałam, że mogłabym wziąć tego kuca - wyznała ostrożnie. - Mam niewielki sad i stajnię. Trzymaliśmy tam kucyka, kiedy byłam dzieckiem.

- A nie będzie dla ciebie za mały? Roześmiała się ponownie.

- Miałam na myśli Sam - przyznała. - Na tym kucyku nie trzeba jeździć ciągle. Potrzebne jest mu także dobre lokum na emeryturę, a ja chętnie mogę go

doglądać. A Sam, kiedy przyjedzie tu z wizytą, mogłaby na nim pojeździć. Dzieci moich znajomych też - dodała jakby od niechcienia. Po drugiej stronie zapadła głęboka cisza.

- Chcę też trzymać parę kur. Nie wymagają wiele, a przyjemnie byłoby mieć jakieś zwierzęta wokół domu. Rusty miałby towarzystwo, kiedy mnie nie ma.

- To wspaniały pomysł - oznajmił Joe.

- No więc dziś po południu chciałabym obejrzeć tego kuca. Może byście wpadli z Sam, jeśli nie macie do roboty nic szczególnego?

- Bardzo chętnie - odparł z entuzjazmem. - A potem pójdziemy na kolację. Wczesną, bo muszę położyć Sam w porę spać. Zostaje dziś u mnie, a rano jedzie do szkoły. - W jego głos wkradł się niepokój. - Czy mogłabyś mi podpowiedzieć, co mam jej dać na lunch do szkoły?

Kucyk liczył sobie dwadzieścia pięć lat, był tłustawy i flegmatyczny. Samantha natychmiast się w nim zakochała.

- Jak on się nazywa? - spytała Felicity.

- Blackie - odparł właściciel lekko zawstydzony. - Niezbyt oryginalnie, wiem, ale moja córka go tak nazwała.

- Sam i ja lubimy nazywać rzeczy w zależności od koloru - oznajmiła Felicity. - To świetne imię, prawda, Sam?

- Taa. - Samantha zbierała garściami trawę, której kuc wcale nie chciał jeść.

- Żal nam się z nim rozstawać, ale córka od lat mieszka za granicą, a ja i żona przeprowadzamy się do miasta.

- U nas będzie miał dobrze - zapewniła go Felicity. - I obiecuję, że do końca jego życia zostanie u mnie - rzekła, patrząc, jak Joe pokazuje córce, w jaki sposób ma podać kucowi trawę, by ten zechciał ją jeść. Tak byli zajęci tym problemem, że nie słyszeli toczącej się obok rozmowy.

- Jeszcze parę dobrych lat można na nim jeździć - oświadczył właściciel. - I będzie też stanowił świetne towarzystwo dla drugiego kuca, jeśli pani córka zechce coś szybszego.

Jej córka. Felicity wcale nie miała zamiaru go poprawiać, uzgodniła tylko szczegóły transportu i się pożegnali. Kuc został przywieziony we wtorkowy wieczór, a w środę Felicity zadzwoniła do Joego tuż po jego przyjeździe do szpitala.

- Blackie polubił sad. Zachowuje się tak, jakby tam całe życie mieszkał. Musisz przyjść i zobaczyć.

- Może dziś?

- Wspaniale. - Czyżby stojący w pobliżu Colin czeka właśnie na nią? - Zrobię kolację. Ósma ci odpowiada?

- Idealnie. Nie zapomnij o deserze - dodał. - Podobno robisz świetny tort czekoladowy. Uwielbiam polewę...

Przez parę sekund pławiła się w rozkoszy, po czym przeniosła wzrok na Colina, który podszedł bliżej, najwyraźniej chcąc coś skonsultować.

- Wiesz, chyba nie mogę czekać do ósmej - dodał Joe. - Jesteś zajęta?

Felicity kiwnęła głową w stronę Colina.

- Obawiam się, że tak.

- Ja chyba też. Macha do mnie anestezjolog. Przyjdę do ciebie, kiedy trochę się uspokoi. Chcę ci coś pokazać.

Colin westchnął z ulgą, gdy odłożyła słuchawkę.

- Potrzebuję twojej pomocy - rzekł przeproszającym tonem. - Mam trudny przypadek, Holly Scott, dwadzieścia osiem lat. Przywieziono ją z krwotokiem. Wygląda na poronienie, ale zaprzecza, jakoby mogła być w ciąży, nie zgadza się na badanie ani nie chce zrobić analizy moczu. Nie wiem, co się dzieje. Może powiedziałaaby coś tobie? Wygląda mi na przerażoną.

- Kto ją przywiózł?

- Mąż. Jest tu także jej siostra.

- Zabierz ich do pokoju dla rodzin, dobrze? Holly była blada i miała podkrążone oczy.

- Fliss Munroe - rzekła Felicity. - Jestem tu lekarzem. Ma pani podobno poważny krwotok.

- To jest okres. Trochę trudniejszy niż zazwyczaj, to wszystko. Nie wiem, o co to całe zamieszanie.

Felicity zerknęła na kartę pacjentki.

- Zemdląła pani w domu. Czy to się wcześniej zdarzało podczas okresu?

- Nie, ale pewnie złapałam wirusa albo co.

- Czy miesiączki są regularne?

- Zawsze.

- Kiedy była poprzednia? Pamięta pani?

Holly potrząsnęła głową. Felicity uznała, że Colin ma rację. Ta kobieta jest przerażona.

- Holly, można być w ciąży, nie zdając sobie z tego sprawy - oznajmiła. - Czasami okres występuje mimo ciąży. Badanie krwi wszystko by nam wyjaśniło.

- O mój Boże! - Holly ukryła twarz w dłoniach. - To można to poznać z badania krwi? Myślałam, że do testu ciążowego potrzebny jest mocz.

- To jest po prostu inne badanie. - Felicity położyła rękę na ramieniu Holly. - No więc co pani jest?

- Ale Barry nie musi się dowiedzieć, prawda? No, o ciąży

- To zależy od pani. Nikt z nas nic mu nie powie.

- Nie chcę też, żeby Georgia wiedziała.

- Czy Georgia to pani siostra?

Holly kiwnęła głową i zanosła się płaczem.

- Co za okropna historia - wykrztusiła przez łzy.

Felicity podała kobiecie pudełko higienicznych chusteczek i czekała, aż ta się uspokoi. Po dwóch minutach pacjentka odezwała się:

- Barry był za granicą przez sześć tygodni, a więc się domyśli, że dziecko nie jest jego. Chyba że mu powiem, że ciąża jest bardziej zaawansowana.

Mogłabym?

- To zależy wyłącznie od pani. Który to tydzień?

- Chyba dziesiąty.

- Robiła pani test ciążowy?

- Dwa razy. - Holly posępnie pokiwała głową. - Za każdym razem wynik był dodatni.

Felicity także kiwnęła głową. Holly trzeba zbadać, by stwierdzić, czy poronienie jest całkowite.

- Nie chcę nikomu o tym mówić. Zwłaszcza Georgii.

- A dlaczego?

Na twarzy Holly pojawił się wyraz bólu.

- Bo ojcem dziecka jest John.

- A John to...

- Mąż Holly. Mój szwagier.

Felicity pokręciła głową. Ta kobieta rzeczywiście skomplikowała sobie życie.

- Georgia i ja zawsze byliśmy blisko. Dalej spędzamy razem dużo czasu. Nie chciałam zakochać się w Johnie, ale... jakoś to się stało. Nie wiem, co zrobimy.

- Najpierw trzeba rozwiązać najważniejszy problem - doradziła jej Felicity. - Wszystko wskazuje na to, że ma pani spontaniczne poronienie i albo już pani straciła dziecko, albo je pani straci. Musimy panią zbadać i zrobić USG. Może też być konieczny zabieg, żeby wszystko oczyścić, ale wieczorem, a najpóźniej jutro rano, wróci pani do domu. - Uśmiechnęła się do Holly. - Nikt nic nie musi wiedzieć, skoro pani tego nie chce, ale nie możemy kłamać. Proponuję, żeby powiedzieć rodzinie, że to poronienie i mieć nadzieję, że nikt nie będzie dopytywał się o daty.

- Ale ja naprawdę chciałam tego dziecka - wyszeptała Holly. - Może to kara...

- Ale skąd. - Felicity pokręciła głową. - Krwawienie w pierwszym trymestrze występuje u około dwudziestu pięciu procent kobiet. Około połowa traci dziecko. To jest dość powszechne, ale nie musi się zdarzyć przy kolejnej ciąży.

Być może następnym razem Holly nie dopuści do takich zawirowań w swoim życiu. Felicity wyjaśniła sytuację Colinowi i zajęła się innym pacjentem, podczas gdy Colin stał w miejscu i przez dobrą chwilę z niedowierzaniem kręcił głową.

Był to bardzo pracowity poranek i Joe miał sporo szczęścia, kiedy wpadł ją odwiedzić podczas spóźnionej przerwy. Miał jeszcze na sobie strój z sali operacyjnej i niósł pod pachą gazetę.

- Zaraz ci pokażę - obiecał. - To jest fantastyczne.

- Chodź do gabinetu. Zaparzę nam kawę i posiedzimy sobie w ciszy. Naprawdę mam już dosyć tego miejsca. Co za ranek!

Joe rozłożył gazetę na biurku, gdy podała kawę.

- Popatrz. Szukają konsultanta do Coronation Hospital.

- To na ten etat czekasz?

- Właśnie - odparł z przejęciem. - Wiem, że mnóstwo neurochirurgów nie chce dotykać się do niczego poza czaszką, ale ja jestem w połowie ortopedą. Uwielbiam operacje kręgosłupa. A oni tam prowadzą ciekawe programy badawcze, właśnie takie, jakimi zainteresowałem się w Stanach.

- Podoba mi się. Jestem pewna, że dostaniesz tę pracę. - Zerknęła na ogłoszenie. - Ale to tylko pół etatu.

- No bo większość chirurgów i tak prowadzi praktykę prywatną. A i dla mnie to lepiej, bo będę miał więcej czasu dla Sam. Może nie będę musiał wynajmować opiekunki. Dayna mnie ostrzegła, że to może być okropnie drogie.

- I to byłby dla ciebie problem? - spytała zaskoczona. W wieku Joego na ogół miewa się pieniądze. Nawet jeśli jego dochody zmniejszyły się podczas studiów podyplomowych, to przedtem przez wiele lat pracował jako chirurg konsultant i zarabiał dobrze.

- Wystarczy mi połówka. Pewnie nie będzie mnie stać na kupno domu przez jakiś czas, ale Sam jest ważniejsza. Znajdę jakiś dom do wynajęcia.

Felicity zmarszczyła czoło.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale dziwi mnie, że nie stać cię na dom. Czy nauka w Stanach była aż tak droga?

- To była tylko część wydatków - odparł. - Dużo kosztowały mnie odwiedziny u Sam, opłaciłem też w zeszłym roku za podróż Dayny z chłopcami i Sam do Disneylandu. Pokrywam wszystkie wydatki na Sam, no a poza tym pomogłem rodzicom kupić ten segment. - Uśmiechnął się przepraszająco. - Przykro mi, kochanie, ale przynajmniej nikt nie powie, że zależy ci na mnie z powodu pieniędzy. Roześmiała się.

- To może tobie zależy na moich...

- Nie. Mnie zależy na twojej polewie czekoladowej. - Pocałował ją w usta, a potem zgarnął w ramiona i obsypał pocałunkami szyję. Odwzajemniła jego uścisk. Nie martwiła jej sytuacja finansowa Joego. Ona ma dość pieniędzy dla nich dwojga, a hojność Joego jest doprawdy wzruszająca. Nie podobało jej się jednak to, że sfinansował wakacje całej rodziny w Stanach. Musiało to kosztować fortunę. Jedno spojrzenie na rezydencję Jacksonów przekonałoby każdego, że nie potrzebowali pieniędzy Joego. Dlaczego Dayna na to przystała?

Joe wypuścił ją z objęć i wziął filiżankę z kawą.

- Dlaczego miałaś dziś wszystkiego dosyć?

- Nie dosyć, tylko było mi ciężko.

Już miała mu zacząć opowiadać o swym pierwszym przypadku, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Kiedy na ekranie zobaczył nazwisko abonenta, wyłączył dzwonek.

- Poczta głosowa się tym zajmie - rzekł ponuro. - Dayna znajduje codziennie jakiś powód, żeby do mnie zadzwonić. Łatwiej jest mi zebrać wszystkie wiadomości i odpowiedzieć na nie wieczorem, kiedy dzwonię do Sam.

Felicity nadal rozmyślała o Holly Scott i jej problemach. Telefon Dayny coś jej uprzytomnił.

- Powiedz mi, Joe, czy Dayna i Catherine były ze sobą blisko? - Starła się mówić obojętnym tonem.

- Bardzo.

- Musiały spędzać razem dużo czasu.

- Wszyscy mieszkaliśmy w Wellingtonie, kiedy ja i Catherine wzięliśmy ślub. Sporo się wtedy widywały.

- Czy Nigel i Dayna byli szczęśliwi?

- Tak mi się zdawało. - Zmarszczył brwi. - A może nie. Nigel dużo podróżował, a Dayna miała do towarzystwa tylko Catherine. Dlaczego pytasz?

- Miałam dziś rano pacjentkę ze spontanicznym poronieniem. Zaszła w ciążę ze swoim szwagrem i była przerażona, że jej mąż i siostra to odkryją.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- O mój Boże, Fliss, chyba nie myślisz, że między mną a Dayną kiedykolwiek coś było?

- Nie - zaprzeczyła, konstatuując, że zdumienie Joego jest szczere. Być może to tylko Dayna się nim interesuje, a może to ona, Fliss, coś sobie uroiła.

- My jedynie ustawicznie się kłócimy - ciągnął. - Ostatnia wielka awantura wybuchła w poniedziałek wieczorem, kiedy zabierałem Sam. Zarezerwowali bilety do Australii. Lecą tam na tydzień, żeby szukać domu.

- Czy Sam leci z nimi?

- Nie. Tym razem stanowczo się sprzeciwiłem. Zostaje ze mną na ten tydzień.

- To dobrze.

- Dayna była innego zdania. Powiedziała, że Sam nie może spać przez tydzień na kanapie. Wobec tego obiecałem, że Sam będzie spała w moim łóżku. Wtedy Dayna chciała się dowiedzieć, co z nią zrobię podczas pracy.

Felicity stwierdziła, że dotychczas niczego nielogicznego w dociekaniach Dayny nie było.

- A co zrobisz?

- Poniedziałki i wtorki mam wolne. Zadzwonię do agencji i poproszę o znalezienie opiekunki na pozostałe dni. Pomoc zaproponowali też moi rodzice. Sam może nocować u nich, kiedy będę miał nocny dyżur pod telefonem.

- To bardzo miło z ich strony. Jak się czują? Joe spojrzał na nią z zadumą.

- Wiem, że nie są w szczytowej formie, ale nie są też tak niedołążni, jak Dayna usiłuje to przedstawiać. Są w stanie dorywczo opiekować się wnuczką.

- Ja niczego nie sugeruję. Po prostu jestem ciekawa, jak się czują.

Z ust Joego wydobyło się westchnienie.

- Ojciec ma problemy z oddychaniem, a mama rozwijającą się cukrzycę. Myślę, że w końcu straci wzrok. A poza tym ma lekkie bóle w klatce piersiowej. Zapisałem ją do kardiologa.

Musiała przyznać, że rodzice Joego nie pomogą wiele.

- Mówiłeś, że które dni masz wolne?

- Poniedziałek i wtorek.

Spojrzała na grafik przypięty do korkowej tablicy.

- Ja mam wolne w środę i w czwartek. Mogłabym pomóc.

- Mogłabyś? - Oczy Joego zabłysły nadzieją. - To byłoby wspaniale, Fliss.

- Uśmiechnął się szelmowsko. - Właściwie to się spodziewałem, że to powiesz.

Spojrzała na niego z namysłem. Przez sekundę ignorowała nawet brzęczenie pagera. Zignorowała także dzwonek alarmowy, który się odezwał w jej głowie. Czy Joe miał nadzieję, że zaproponuje mu pomoc przy dziecku, czy tego oczekiwał? Czy możliwość występowania w roli zastępczej matki to jedna

z jej zalet? Ta myśl rozbłysła w jej głowie i zgasła. Już na samym początku błędnie oceniła Joego i nie chciała tego powtórzyć.

- Moglibyśmy zająć się nią razem, Joe. Może na ten tydzień przyjedziecie do mnie? Pierwsze cztery dni nie stanowią problemu, a co do reszty, możemy się wymieniać. O której zaczynasz pracę w piątek?

- O siódmej rano.

- A ja dopiero o dziewiątej. Mogłabym podrzucić Sam do szkoły.

- Ale ja kończę dopiero o piątej. Chyba rodzice mogliby Sam odebrać.

- Spróbujmy dokonać tego sami. - Szczerze tego pragnęła. Joe zyskałby pewność, że jest w stanie poradzić sobie z córką, i pozbawiłby Daynę argumentów. - W wielu szkołach organizowane są zajęcia pozalekcyjne. Jak jest u Sam?

- Nie wiem. Sprawdzę.

- Weekend nie powinien stanowić problemu. Wnuczka Charliego ma siedemnaście lat. Na pewno byłaby zachwycona, gdyby jej zaproponować opiekę nad Sam.

- Tak uważasz? - rzekł zadowolony.

- Dowiem się. - Pager Felicity odezwał się ponownie.

- Obawiam się, że moja przerwa się skończyła. Zobaczymy się wieczorem, Joe, i sfinalizujemy nasze plany,

Joe ucałował ją gorąco.

- Jesteś zdumiewająca - oświadczył, znowu ją całując.

- Kocham cię. A Sam będzie zachwycona twoją propozycją.

- Cieszę się.

Następny tydzień był cudowny. Felicity zastanawiała się, jak mogła przedtem w ogóle chcieć wracać do domu? Dlaczego nie zdawała sobie sprawy, że jej życie jest tak samotne?

To były całkiem nowe doznania: mała dziewczynka biegnąca jej na spotkanie, gdy wysiadała z samochodu, z zapalem relacjonująca szkolne

wydarzenia i wszystko to, co robiła potem; czekający na nią mężczyzna, który witał ją z radością.

Joe wcale tak źle nie gotował, jak to wszystkim wmawiał. W poniedziałek przyrządził makaron z dodatkiem kupionego w sklepie sosu, lecz we wtorek zrobił na grillu steki i całkiem niezłą sałatkę jarzynową. Pochwały Felicity zbył nonszalanckim wzruszeniem ramion, w jego oczach jednak pojawił się błysk dumy.

- Widziałem kilka razy, jak Dayna to robiła - przyznał skromnie. - Każdy by zapamiętał.

Jeszcze lepsze były dni, gdy Felicity pozostawała w domu, a Joe udawał się do pracy. Miała dla siebie mnóstwo czasu i z zapałem zrobiła kilka rzeczy, które wymusił pobyt gości. W środę, po szkole, obie z Sam osiodłały kuca i Felicity poprowadziła go na spacer z dziewczynką na grzbiecie. Rusty nie odstępował ich na krok. Pogoda była wspaniała i Felicity wcale się nie zdziwiła, że spotkała Charliego spacerującego z psem.

- Jak się miewa kuc? - zapytał.

- Chyba doskonale - odparła Felicity, czując, jak konik przyjaźnie dźga ją nozdrzami w bok.

- A ja sobie na nim jeżdżę - oznajmiła Samantha.

- Widzę. - Charlie mrugnął do Felicity.

Krótkie nogi dziewczynki sterczały w powietrzu pod dziwnym kątem z powodu grubego brzucha kuca. Jej rączki kurczowo ścisnęły grzywę.

Felicity uśmiechnęła się szeroko.

- Zapomniałam już, jak fajnie jest mieć zwierzęta w ogrodzie. Myślę, że kupię kury. Świeże jajka smakują znacznie lepiej niż ze sklepu. Nie znasz przypadkiem kogoś, kto chciałby się pozbyć paru kur, Charlie?

- Na pewno kogoś znajdę. - Charlie skinął głową. Klatka z kurami przybyła w czwartek po południu, a wraz nią bela siana, grzędy i worek ziarna.

- Jesteś cudownym sąsiadem, Charlie. Dzięki.

- Zapytałem też Sarah-Jane, czy posiedziałyby w weekend z Sam. Powiedziała, że bardzo chętnie. Tylko ustalcie godziny.

Cały ten misterny plan został w sobotę zagrożony. Felicity miała dyżur od ósmej, o ósmej trzydzieści Joe zaczynał obchód, a Sarah-Jane do dziewiątej miała pływanie.

- Chyba się spóźnię na obchód - rzekł Joe zrezygnowany - żywią nadzieję, że nowy pracodawca się o tym nie dowie.

- Zobaczę, czy ja mogłabym coś zmienić - zaproponowała. - Może ktoś, kto ma nocny dyżur, zostanie trochę dłużej, a ja mu się odwdzięczę przy okazji.

Felicity była dumna, że z taką łatwością usunęła tę niewielką komplikację. Joe docenił jej wysiłek.

- Fliss? - odezwał się poważnym tonem. - Jesteś fantastyczna. Zaczynam się zastanawiać, co bym bez ciebie robił. - Wyciągnął do niej ramiona. - Chodź do mnie.

Sama wtedy zaczęła się zastanawiać, co by robiła w życiu bez niego. Jej niepokój się pogłębił, kiedy w sobotę po powrocie ze szpitala zastała Joego przy pracy w ogrodzie. Przez moment patrzyła, jak zмага się z jednym z krzewów na drugim końcu trawnika, po czym zbliżyła się do niego.

- Miałaś zły dzień? - spytał, zerkając na jej twarz. Kiwnęła głową, a on odłożył szpadel i zdjął rękawice.

- Usiądźmy tu - wskazał jej ławkę - i wszystko mi opowiesz.

Posłusznie zajęła miejsce i opowiedziała mu o dylemacie, z jakim miała tego dnia do czynienia. Do końca nie była pewna, czy podjęła słuszną decyzję. Pacjent miał niewiele ponad czterdzieści lat i nowotwór w stadium terminalnym. W domu dostał zawału serca i jego żona, pielęgniarka, przeprowadziła reanimację. Mężczyzna błagał Felicity o umożliwienie mu złożenia oświadczenia, że w razie zatrzymania akcji serca nie życzy sobie następnej reanimacji, bo ma już wszystkiego dość. Jego żona zaś błagała ją o ratowanie mu życia. Nie chciała go jeszcze tracić, podobnie jak dzieci.

- No i co zrobiłaś?

- Przez pół dnia miałam nadzieję, że nic mu się nie stanie, dopóki będzie u nas leżał. Zorganizowaliśmy przewiezienie go do hospicjum, kierowani myślą, że lepsza kontrola symptomów uczyni jego ostatnie chwile znośniejszymi. - Popatrzyła na swe dłonie. - A potem przez resztę dnia myślałam, jakie to wszystko było okropne, to znaczy poinformowanie jego żony i dzieci, że on umarł.

- Próbowalaś go reanimować? Najpierw odpowiedziało mu milczenie.

- Nie - odrzekła wreszcie. - Postanowiliśmy uszanować jego wolę. Wiedział, co robi, był świadomy. Przez wzgląd na rodzinę starał się utrzymać przy życiu tak długo, jak mógł, ale Joe, szkoda, że nie widziałeś twarzy jego żony. No i ta córeczka, w wieku Sam. Powiedziałam jej, że strasznie mi przykro, że nie mogę zrobić nic więcej. Każde z tych słów było prawdą, a jednak żałowałam, że mimo wszystko nie próbowałam go ratować. Bo może podjęłam niewłaściwą decyzję.

- Nie. - Joe łagodnie potrząsnął głową. - On już i tak umierał, Fliss. Nawet gdyby pożył kilka godzin, dni czy tygodni dłużej, rodzinie i tak nie byłoby łatwiej. Reanimacja też mogłaby ci się nie udać, a gdyby się udała, on by ci nie podziękował. Podarowałaś mu coś bardzo istotnego, Fliss. Pozwoliłaś mu dokonać wyboru, uszanowałaś jego prośbę i pomogłaś mu zachować do końca godność. Zrobiłaś to, co należało. Ja bym postąpił tak samo.

Gdy przytulił ją do siebie, z ust Felicity wyrwało się westchnienie ulgi. Nie był to pierwszy trudny przypadek, z jakim musiała sobie radzić, i nie ostatni. Nie musi też zmagać się godzinami z akceptacją swych posunięć. Może podzielić się doświadczeniem z Joem i uzyskać zrozumienie, pozwalające jej oddzielić życie prywatne od zawodowego.

Nagle na trawniku pojawiła się Sam, a za nią Rusty.

- Znalazłam jajko! - zawołała, gdy podbiegła bliżej. - Fliss! Tato! To prawdziwe jajko!

W niedzielę kury zniosły więcej jaj, lecz nie tyle, ile oczekiwałyby dziewczynka. Dziesięć wypraw do kurnika zaowocowało trzema jeszcze ciepłymi jajkami.

- Czy w środku jest kurczaczek, Fliss?

- Nie. Nie będzie kurczaczka, dokąd nie będzie koguta.

- Dlaczego?

Felicity spojrzała na Joego, błagając go wzrokiem o pomoc. On jednak zachował irytujące milczenie.

- Kury są matkami - wyjaśniła małej - a kurczaczki potrzebują także taty. Czyli koguta.

- Ja mam tatę - oświadczyła Sam - ale nie mam prawdziwej mamy.

Umarła.

- Wiem. - Felicity usiłowała mówić równie beznamiętnie co dziewczynka.

- To smutne, prawda?

- Uhm. - Sam zdawała się już myśleć o czymś innym. - Możemy mieć koguta, Fliss? Kurom chyba jest źle samym.

- Ależ oczywiście. Nie chcemy mieć samotnych kur.

Kiedy wieczorem Samantha poszła spać, a oni zasiedli przy kuchennym stole nad filiżanką kawy, Joe popatrzył na Felicity i ze smutkiem pokręcił głową.

- No cóż, zaprzepąściłaś okazję seksualnego uświadomienia mojej córki. A już liczyłem na to, że mnie w tym wyręczysz.

- Ta wiedza na razie jej wystarczy. Gdyby chciała wiedzieć więcej, nie poddałaby się tak łatwo.

- Być może okazja się powtórzy wraz z pojawieniem się koguta i kurczaków. Naprawdę chcesz koguta, Fliss? I żeby o świcie każdego dnia budziło cię jego pianie?

- To mi nie przeszkadza - odparła radośnie. - Nie chcę, żeby kury czuły się samotne.

- Ja też nie lubię samotności - odparł. - A chyba bym się poczuł bardzo samotny, gdybym na długo musiał się z tobą rozstać.

- Tak? - spytała z nadzieją w głosie.

- Dayna dzwoniła, kiedy byłaś w pracy.

- Dayna dzwoni codziennie - mruknęła z westchnieniem. Poczula niechęć do dzwoniącego telefonu. Czowała, że

Dayna nie aprobuje jej obecności w życiu szwagra i siostrzenicy. Może obawia się przegranej?

- Tym razem był to inny telefon - wyjaśnił Joe. - Na nic nie narzekała, o nic się nie dopytywała. Była zadowolona. Znaleźli podobno piękny dom i chciała opowiedzieć o nim Sam. Nawet jest tam wybieg i konie. W tym domu jest także mieszkanie z osobnym wejściem, które według Dayny stanowiłoby znakomite rozwiązanie dla nas wszystkich.

- Doprawdy? - Zerknęła na niego podejrzliwie.

- Oczywiście, nie. Samantha nie chce wrócić nawet do ich domu tutaj. Woli zostać z nami.

- Lubię, kiedy ona tu jest. Ten dom znowu żyje.

- Ja też chciałbym tutaj zostać, Fliss. Ten tydzień był naprawdę cudowny. Felicity pokiwała głową.

- Byliśmy jak prawdziwa rodzina, no nie?

- I wszystko działało jak w zegarku, mimo naszej pracy i dyżurów o dzikich porach. Udało się nam.

- Udało.

- Wiesz, Fliss, poradzilibyśmy sobie. Moglibyśmy mieć wszystko. Pracę, siebie i rodzinę. Moglibyśmy także mieć swoje dziecko, brata albo siostrę Sam...

Utkwiła wzrok w jego twarzy. Tak, ten tydzień był fantastyczny. I to prawda, co Joe mówi - mogliby mieć wszystko. Pragnęła tego z całego serca.

- Bardzo cię kocham, Fliss. Chcę, żebyś została moją żoną. Chcę, żebyś była przy mnie przez resztę moich dni.

- Ja też tego chcę, Sam. Kocham ciebie i Sam.

- Czy z tego powodu jest ci trudniej? Mam na myśli to, że częścią naszego układu musi być Sam.

- Nigdy nie było mi łatwiej podjąć decyzję, Joe. - Uśmiechnęła się łagodnie. - A więc jeśli masz zamiar mi się oświadczyć, możesz uzyskać odpowiedź pozytywną.

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Kocham cię, Fliss. Czy wyjdiesz za mnie?

- Tak. Oczywiście, wyjdę. - Próbowwała przybrać równie poważny ton co Joe, w końcu jednak się roześmiała i zanim Joe wziął ją w ramiona, zdołała jeszcze wykrztusić: - A już myślałam, że nigdy mnie o to nie poprosisz.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pierścionek zaręczynowy był przepiękny.

Pochodził z niespodziewanego źródła. Joe zapragnął, by jego rodzice dowiedzieli się o jego planach jako pierwsi. Postanowili nic nie mówić o planowanym ślubie Sam, uznawszy, że nie byłoby fair oczekiwać od pięcioletniego dziecka dochowania takiej tajemnicy.

- Kiedy tylko Dayna się dowie - oznajmił Joe - zrozumie, że dłużej Sam nie utrzyma. Sam jej o tym powiem.

- Czy chciałbyś, żebym z tobą była?

- Nie. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli sam z nią porozmawiam.

Felicity ze zrozumieniem kiwnęła głową. Dayna na pewno przypomni sobie wtedy ostatni ślub, jaki Joe planował - z Catherine. Może oboje powinni pożegnać się z przeszłością...

Rodzice Joego natomiast byli zachwyceni wiadomością. Podjęli swych gości kieliszkiem sherry, za którą Felicity nie przepadała, lecz dzielnie starała się to ukryć.

- To bardzo ładne miejsce - zauważyła, rozglądając się po malutkim mieszkanku. Znajdowała się tam tylko jedna sypialnia z łazienką dostosowaną do potrzeb ewentualnych inwalidów. Kuchnia także była urządzona z uwzględnieniem potrzeb osób w podeszłym wieku, salon zaś był na tyle przestronny, że z łatwością mogło się tam pomieścić kilka osób. Wszystkie wolne przestrzenie wypełniały meble, dekoracje i obrazy, mieszkanko jednak wcale nie było zagracone, lecz przytulne.

- Dla nas zupełnie wystarczy - rzekł Donald Petersen z aprobatą. - A Norma je uwielbia. Mamy tu wspaniałą drużynę do gry w bawls, a raz na tydzień organizowane są autobusowe wycieczki w różne ciekawe miejsca.

- W zeszłym tygodniu pojechaliśmy do Akaroi - wyznała Norma. - Zjedliśmy tam lunch i odwiedziliśmy kilka galerii. Bardzo przyjemny dzień. - Norma odstawiła swój kieliszek i uśmiechnęła się do Felicity. - Tak się cieszę z powodu ciebie i Joego. Ciekawa jestem.

- Ciekawa jesteś czego, mamó?

- Tak się właśnie zastanawiam... Nie kupiłeś jeszcze pierścionka zaręczynowego, prawda?

- Nie, ale wkrótce się tym zajmiemy.

- Ja nie mogę już mojego nosić. Trochę zgrubiał mi palec. - Norma zawahała się. - Ten pierścionek jest dosyć szczególny. Najpierw nosiła go moja babcia, a ja dostałam go od niej, kiedy się zaręczyłam z Donem. Obrączka została przerobiona, ale ornament pozostał bez zmian. Chciałabyś go zobaczyć?

- Bardzo chętnie - odparła Felicity.

Pierścionek zrobiony został z białego złota, ozdobionego girlandką diamentowych kwiatów.

- Przymierz - poprosiła Norma. - Może będzie pasował.

Pierścionek wyglądał na dłoni Felicity doskonale. Joe był zachwycony faktem, że jego ukochana otrzymała pierścionek jego prababki. Narzeczeni serdecznie podziękowali Normie i Donaldowi za ów symboliczny dar.

Garetha ucieszyła zarówno wiadomość o ślubie, jak i widok starego klejnotu na palcu jego ulubionej lekarki.

- Czułem, że coś się święci, kiedy tylko Joe się tu pojawił. Wtedy, kiedy tak koniecznie chciałaś zająć się złamaną ręką jego córki.

- Ale wtedy jeszcze nic się nie działo - mruknęła zaskoczona Felicity.

- Akurat! - Gareth puścił oko do Joego. - To dlaczego Joe chciał ode mnie wyciągnąć, czy Fliss kogoś ma?

- Ja? Przecież sam poruszyłeś ten temat.

- Bo wiedziałem, że cię to interesuje - odparł Gareth z dobrotliwym uśmiechem. - Uwielbiam pracę na nagłych wypadkach - wymruczał niby to do siebie, opuszczając pokój. - Tu zawsze coś się dzieje.

Joe i Felicity uśmiechnęli się do siebie.

- A więc po co mnie tu wezwiałaś, Fliss?

- Po pierwsze, jak ci poszło w Coronation?

- Znakomicie. Zaczynam za dwa tygodnie.

- Naprawdę? To fantastycznie, Joe.

- Tutaj złożyłem już wymówienie.

- No cóż, zanim spakujesz manatki, mógłbyś spojrzeć na te rentgeny? -

Podeszła to ekranu. - Mężczyzna, sześćdziesiąt pięć lat, pojawił się tu z nagłym bólem w dole kręgosłupa, który podczas leżenia się nasila. Ból ten promieniuje do lewej nogi, a obie nogi są słabe i czuje w nich mrowienie oraz nadwrażliwość w okolicach L3 i L4.

- Są już jakieś wyniki badań?

Przebiegł wzrokiem podane mu przez Fliss papiery, po czym zerknął na ekran. Jego zdaniem problemy z kręgosłupem były wynikiem nowotworu w innej części ciała.

- Rentgen płuc był dobry, Colin też nic nie stwierdził. Może sama go zbadam?

- Moim zdaniem to nowotwór piersi albo prostaty. Felicity westchnęła.

- Niezbyt dobre rokowania, skoro są już przerzuty.

- Nie. Możemy operować i złagodzić pewne objawy, ale zyskamy tylko trochę czasu. On potrzebuje naświetlań i dużej dawki sterydów. Niech przyjdzie tu ktoś z onkologii. Mogą nas zawiadomić telefonicznie, kiedy przygotowują salę.

- Dzięki, Joe. Wiedziałam, że to coś paskudnego, kiedy Colin poprosił mnie o konsultację. Będzie mi ciebie brakowało z tego właśnie powodu.

- Zawsze możesz mnie poprosić o pomoc - odrzekł, uśmiechając się do nadchodzącego Colina. - Tylko zadzwoń.

- Zastanowię się nad nimi z Colinem - rzekła Felicity, wskazując na zdjęcia. - Zobaczę cię wieczorem?

- Wieczorem mam dyżur.

- A jutro? Tylko że kończę dopiero o jedenastej.

- Z przyjemnością poczekam.

- Cześć! Gratulacje, wszystko już słyszałem! - Colin uścisnął rękę Joego. - Szczęściarz z ciebie.

- I z ciebie też - odparł Joe. - Fliss zaraz cię przebada z umiejętności interpretacyjnych... - Odwrócił się i gestem dał Felicity znak, by poszła za nim. - Powiedziałem już Daynie - szepnął kawałek dalej.

- No i co? - Zagryzła wargi.

- Nic. Ale rano zadzwoniła. Zgodziła się, żebyśmy o tym powiedzieli Sam, a ona zaprasza nas na drinka z tej okazji. Nasz pierwszy wolny wieczór wypada dopiero w następną środę. Czy mam się z nią umówić?

- Oczywiście. - Weekend to wspaniała okazja, by powiadomić Sam o nadchodzących w jej życiu zmianach. Na razie reakcja Dayny sprawia wrażenie pozytywnej, toteż może Sam nie usłyszy na ten temat nic przykrego. Kiedy w środę odwiedzą Jacksonów, zorientują się, w jakim nastroju jest Samantha. Gdyby miało się okazać, że jest jej ciężko, Felicity zamierzała poprosić, by Joe i jego córka zamieszkali u niej.

Samantha przyjęła wiadomość o ślubie tak, jakby się jej spodziewała.

- To będzie też mój dom, prawda?

- Oczywiście. - Joe przytulił córkę, która już leżała w łóżku, a na resztę pytań pozwolił odpowiedzieć swej narzeczonej.

- A Rusty też będzie mój?

- On uważa, że już jest twój.

- A kury? I Blackie?

- One są częścią naszej rodziny. A ta rodzina to ty, tatuś, ja i zwierzaki.

- A jak zostaniesz żoną taty, to mam nazywać cię dalej Fliss czy może mamą?

Felicity poczuła niespodziewanie dławienie w gardle.

- Możesz mnie nazywać, jak chcesz, kochanie.

- To będę nazywać cię mamą. Bo chcę.

- I ja też. - Felicity ucałowała dziecko na dobranoc. - Śpij dobrze, malutka.

- Znakomicie sobie z tym poradziłaś - powiedział Joe, gdy schodzili na dół.

- To wcale nie było trudne - odrzekła. - Miejmy tylko nadzieję, że pytania Dayny będą równie łatwe.

Tym razem podczas wizyty u Jacksonów Felicity nie miała zamiaru wyglądać na zaniedbaną. Włożyła dopasowaną, czarną sukienkę bez rękawów,

włosy splotła we francuski warkocz, na twarz nałożyła lekki makijaż, na szyi zaś zawiesiła sznur pereł należący niegdyś do jej babki.

Joe aż gwizdnął z podziwu, gdy po nią przyjechał.

- Wyglądasz olśniewająco, Fliss. Powinienem wrócić do domu i się przebrać. - Miał na sobie sprane džinsy i kremową koszulę z krótkimi rękawami, rozpiętą pod szyją.

- E, wyglądasz dobrze. Ja jednak uznałam, że powinnam trochę się postarać. Podczas tamtej kolacji źle się czułam.

- Myślę, że dziś będzie znacznie lepiej - oświadczył Joe, ruszając. - Dayna chyba się ze wszystkim pogodziła. Zachowuje się zupełnie inaczej, odkąd wie o naszych zaręczynach.

- Naprawdę? Jak się zachowuje?

- Przez kilka dni pewnie przetrawiała tę wiadomość, bo wcale się do mnie nie odzywała. A teraz sprawia wrażenie zadowolonej. Z powodu naszego ślubu i mojej nowej pracy.

- To wspaniale - odrzekła Felicity, nie do końca jednak przekonana o wspaniałomyślności Dayny.

Joe zaparkował samochód i zgasił silnik.

- Na pewno ma trochę mieszane uczucia - przyznał ostrożnie. - Traci dziecko, które uważa za córkę, a ja znajduję kobietę, która zastępuje jej siostrę.

- To ja kogoś zastępuję? - Ta uwaga ją zaniepokoiła.

- Tylko z punktu widzenia Dayny. - Delikatnie pogładził ją po twarzy. - Kochałem Catherine i długo wspominałem najlepsze chwile, jakie razem przeżyliśmy, ale teraz mam ciebie i te wspomnienia mi nie wystarczą.

- Często o niej myślisz?

- Nie tak często jak na początku, a prawie wcale, odkąd cię poznałem. Kocham cię, Fliss. Chcę spędzić z tobą resztę życia i wykorzystać jak najlepiej każdą chwilę. Zawsze coś mi będzie przypominało Catherine - w końcu urodziła Sam - ale te wspomnienia nie mogą mieć wpływu na nas. Wiem, że stosunki

między tobą a Dayną tak łatwo się nie ułożą, ale ona matkowała Sam od urodzenia. Nie mogę kompletnie usunąć jej z naszego życia.

- Tego nie oczekuję.

- Nie denerwuj się jej gadaniem. Spróbuj popatrzeć na wszystko jej oczami. Wiem, że jesteś wspaniałomyślna.

- Dobrze. Nie martw się, Joe.

- Może nawet spotka nas niespodzianka. Może Dayna na tyle pogodziła się z rzeczywistością, że naprawdę się cieszy z naszego ślubu.

Dayna nie sprawiała jednak wrażenia szczęśliwej. Ani nawet przychylnie usposobionej. Ubrała się na sportowo - czyżby dlatego, by nie krępować Felicity? - lecz jej dzinsy i top były markowe. Trzymała w ręku niemal pustą szklankę i szeroko się uśmiechała.

- Pomyślałam sobie, że dziś zrobimy sobie rodzinne barbecue. Pogoda jest taka ładna, no i dzieci będą zadowolone. Teraz są w basenie. Nigel, nalej Joemu i Felicity drinka. Musimy uczcić taką okazję.

- Ależ oczywiście.

Nigel stanął przy tacy z wysokimi kieliszkami i butelką szampana. Pierwszy kieliszek podał Felicity.

- Gratulacje - rzekł serdecznie. - Bardzo się cieszę. To wspaniała wiadomość, a poza tym w samą porę. Sam tak się cieszy z przeprowadzki do was, że wcale się nie zmartwi naszym wyjazdem za ocean.

Poprzez otwarte drzwi Felicity zerknęła na basen, w którym kąpały się dzieci. Samantha siedziała na plastikowym kole w kształcie kaczki, a Scott obracał nią dookoła. Zanosila się głośnym śmiechem.

- Na pewno wygląda teraz na szczęśliwą.

- Prawda? - Dayna wzięła z tacy kieliszek. - Na szczęście mamy nowy system grzewczy, bo inaczej musiałaby czekać jeszcze z miesiąc, zanim mogłaby popływać. Szkoda byłoby tracić taką piękną pogodę. Aha, mogłabym

zobaczyć twój pierścionek? - zwróciła się do Felicity. - Hm. Dość oryginalny, prawda?

- Ma ze sto lat - odparła Felicity. - Należał do prababki Joego.

- Tak? - Dayna zerknęła na szwagra, któremu Nigel wręczał właśnie kieliszek. - Catherine miała nowy pierścionek. Zatrzymałam go dla Samantha, ale poczekam, aż dorośnie.

- Na pewno będzie dla niej ogromnie cenny - zauważyła Felicity szczerze.

- A może nawet go wykorzysta...

- Gratulacje, Joe - odezwał się Nigel. - Najwyższa pora, żeby przytrafiło ci się coś dobrego. Masz szczęście.

- Myślę, że tak. Nigel uniósł kieliszek.

- Chciałbym wznieść toast za Joego i Felicity.

- A kiedy załatwisz ostatecznie sprawę pracy, Joe? - wtrąciła natychmiast Dayna.

- Oficjalnie to stanowisko ma być ogłoszone w prasie zagranicznej, i przez miesiąc mają napływać podania. Nieoficjalnie już dostałem tę pracę, na razie na umowę tymczasową. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

- Czy tego naprawdę chcesz, Joe? A może skusimy cię na przeprowadzkę do Australii?

- Tego właśnie chcę - odparł zdecydowanym tonem. - I lokalizacja jest znakomita. Tylko dwie minuty jazdy od domu Fliss. Będę chodził tam piechotą, z wyjątkiem dni operacyjnych, które zachowam w Queen Mary.

- A więc nie macie zamiaru się przeprowadzać? - Tym razem Dayna zwróciła się do Felicity. - Nie chcecie mieszkać w domu, który wspólnie wybierzecie?

- Nie znaleźlibyśmy lepszego miejsca - odparł Joe. - Nigdy nie będę próbował namawiać Fliss na opuszczenie jej rodzinnego domu, chyba że tego zechce.

- Nie chcę.

- To ja też nie - stwierdził Joe. - Dom jest tam, gdzie serce, a Felicity ma moje serce.

- No, no, no! - zareagował Nigel.

Dayna wypła szampana, ale odmówiła drugiego kieliszka.

- Pozostanę przy szkockiej - wyjaśniła Nigelowi. - Nie martw się, sama się obsłużę. A może wy, panowie, zajęlibyście się barbecue?

- Dobrze. - Nigel spojrział na dzieci, idąc w stronę grilla. - Trochę wolniej, Scott. Samancie zacznie kręcić się w głowie. Gdzie jest Andrew?

- Bierze prysznic.

- Pora, żebyście i wy się osuszyli. Zaraz zaczniemy przygotowywać kolację i nie chcemy, żebyście marzli.

Joe i Nigel zdjęli pokrowce z gazowego barbecue i włączyli palniki. Wybrali następnie właściwe sztuce do pieczenia, ułożyli odpowiednio porcje mięsa, a potem otworzyli puszki z piwem i zasiedli do poważnej sprawy pilnowania mięsa.

Felicity poszła z Dayną do kuchni, by pomóc jej przy sałatkach. Za nimi przydreptała otulona w wielki ręcznik Sam.

- Fliss? Widziałaś, jak pływam?

- Oczywiście, kochanie. Nie robi ci się niedobrze od tego kręcenia w kółko?

- Nie, to było bardzo fajne.

- Samantha uwielbia pływanie - zauważyła Dayna, zerkając na Felicity. - A ty masz basen?

- Nie. - Felicity uśmiechnęła się do Sam, unikając kontaktu wzrokowego z Dayną. - Ale może kiedyś...

- Weź prysznic, Samantho - poleciła Dayna. - Zalejesz mi całą podłogę.

- Mogę zjeść parówkę na kolację, mamó?

- Oczywiście. - Dayna uśmiechnęła się, po czym uniosła brwi, widząc minę dziewczynki. - Co się stało, skarbie?

- Kiedy Fliss wyjdzie za tatusia, zostanie moją mamą.
- Zostanie twoją macochą - rzekła Dayna twardo. Dziewczynka jednak nie zwracała uwagi na semantykę.
- To jeśli ona zostanie moją mamą, to nie będę mogła mówić tak do ciebie
- rzekła ze zmartwioną miną.
- Ależ będziesz mogła - wtrąciła Felicity, usiłując rozładować napiętą atmosferę.
- Jeśli zechcesz - dodała Dayna sztywno.

Samantha spojrzała na obie kobiety po kolei. Felicity dostrzegła na jej twarzy pragnienie, by powiedzieć to, co należy, oraz zmieszanie wywołane podtekstami, które dziecko intuicyjnie wyczuwało, lecz których nie mogło pojąć. W końcu Samantha zrobiła rzecz najbezpieczniejszą - nie powiedziała nic.

Dayna odwróciła się.

- Pysznic, Samantho.

Gdy dziewczynka opuściła kuchnię, Dayna popatrzyła na swego gościa.

- On cię nie kocha, chyba wiesz. Nie tak, jak kochał Catherine. Albo mnie.

- Przepraszam, co ty mówisz? - Felicity upuściła cały liść sałaty do salaterki.

- Zastanów się nad tym. - Dayna wypła spory łyk whisky. - Joe wrócił do Nowej Zelandii, żeby być z córką. Potrzebował pracy i domu, i jeszcze jednej rzeczy, żeby osiągnąć cel.

- To znaczy czego? - Felicity podniosła liść i podarła go na małe kawałeczki. Niech już Dayna wreszcie powie wszystko.

- No cóż, obie wiemy, jak bardzo ważna dla Joego jest jego praca. Po śmierci Catherine to właśnie ona nadała sens jego życiu. On nie zrezygnuje z pracy, żeby stać się pełnoetatowym ojcem. Musiał znaleźć kogoś do opieki nad dzieckiem.

- Gdyby istotnie szukał opiekunki, zadzwoniłby do agencji. Nie masz pojęcia, o czym mówisz, Dayno. - Nie miała już ochoty patrzeć na rzeczywistość z punktu widzenia Dayny. - A ja nie widzę powodu, żeby cię słuchać.

- Nie? - warknęła Dayna. - Dodaj dwa do dwóch. Joe potrzebował pracy, i ją znalazł. Potrzebował domu, ale na kupno go teraz nie stać, a ty masz ładny dom, w dodatku blisko jego pracy. Będzie go to kosztowało rok lub dwa małżeństwa. Potrzebuje także opiekunki. Jestem pewna, że ci obiecał wspólne dziecko. Wtedy ty zostaniesz w domu, żeby się nim opiekować, a przy okazji zajmiesz się Samanthą. Prawda? To znacznie prostsze i tańsze niż wynajęcie niani. A poza tym jestem pewna, że on...

Felicity opuściła kuchnię w środku tyrady Dayny. Powinna była wyjść znacznie wcześniej. Teraz mogła jedynie zignorować ten wredny atak i uznać go za absurdalny. Dayna widocznie poczuła się winna, bo oznajmiła, że ma migrenę i musi się położyć. A potem, gdy dzieci przyłączyły się do dorosłych, Samantha usiadła na kolanach Joeego i przez cały czas radośnie uśmiechała się do Felicity, potwierdzając niejako, że słowa Dayny były czystym wymysłem.

Ziarno wątpliwości zostało jednak zasiane. Skąd ona, Felicity, wie, że Joe pragnie właśnie jej? A może jednak on szuka idealnego rozwiązania? Czyżby był wyrachowany? Trudno jest kwestionować fakt, że dzięki małżeństwu z nią Joe wejdzie w posiadanie domu. Ze zwierzętami i ogrodem, w którym dziecko może się bawić. Blisko jego pracy i szkoły dziecka. I tak dalej, i tak dalej...

Tego wieczoru znowu rozdzwoniły się w jej głowie dzwonki alarmowe - i tym razem ich nie zignorowała. Być może Joe spodziewał się, że ona zachowa się jak zastępcza matka, gdy Jacksonowie wyjadą do Australii. Być może to wszystko było jakimś testem, by się przekonać, czy ona sprostą tym oczekiwaniom. No cóż, zdała test śpiewająco, prawda? Kiedy w sobotni poranek pojawił się problem z opieką nad Samanthą, rozwiązała go z podziwu godną prędkością. Joe nie musiał w tej sprawie nawet kiwnąć palcem, prawda?

Nie. Po prostu jej powiedział, że jest fantastyczna i że nie wie, co by bez niej zrobił. A ona poszła na lep jego komplementów. Odkąd ona go właściwie zna? Od trzech miesięcy? Śmiesznie krótko. Dayna zna go znacznie dłużej i jej rewelacje zaczęły nagle nabierać sensu. Oczywiście, że Joe nie wie, co by bez niej począł. Jeśli ona zniknie, przestaną też istnieć jego plany na przyszłość - plany związane z nią.

On ją wykorzystuje.

Bardzo go pokochała, lecz ze względu na szacunek dla samej siebie musi to wszystko przerwać.

Joe wyczuł, że atmosfera się zmieniła. Dayna najwyraźniej za dużo wypila i poszła się przespać, ale dlaczego Felicity tak nagle ucichła? Czyżby Dayna jej coś powiedziała, kiedy były same w kuchni? Ogarnął go poważny niepokój, gdy zauważył, że Felicity prawie nie je. W końcu nadeszła pora, by Samanthę położyć spać. Joe poszedł z nią na górę, przeczytał jej fragment książki i pocałował na dobranoc.

- No to do piątku, Sam - powiedział. - Przyjedziemy do ciebie po szkole i spędzimy weekend u Fliss. Pojeździsz na Blackiem i nakarmisz kury.

- A będą jajka?

- Na pewno. Pewnie mnóstwo.

- Czy jest tam już kogut?

- Nie wiem. Poproszę Fliss, żeby tu do ciebie wpadła, to ją spytasz.

Joe opuścił pokój córki. Sypialnia gospodarzy znajdowała się kawałek dalej, bliżej schodów. Joe przystanął i zapukał w otwarte drzwi.

- Dayna? Jak się czujesz?

- Już lepiej. Wejdź, Joe.

- Nie mogę. Muszę odwiedzić Fliss. - Joe odchrząknął. - Chciałbym jedynie wiedzieć, czy powiedziałaś coś takiego, co mogło ją zdenerwować.

Dayna podeszła do drzwi. Miała na sobie luźny jedwabny szlafrok narzucony na bieliznę. Stała na tyle blisko Joego, że automatycznie się cofnęła.

- Nie powiedziałam jej niczego, co nie byłoby prawdą, Joe. Wiem, dlaczego chcesz się z nią ożenić.

- Dlaczego? - Joe zjeżył się.

- Bo nie możesz się ożenić ze mną. - Zachwiała się lekko, postępując następny krok do przodu. - Ale zastanawiałam się nad tym, Joe. Jestem gotowa opuścić Nigela. Już go nie kocham. A przynajmniej nie tak jak ciebie.

- Na miłość boską, Dayno, przestań. I to już.

- Nie mogę. I wiem, że mnie chcesz.

Gdy zarzuciła mu ramiona na szyję, poczuł, że się dusi. Musiał użyć obu rąk, by uwolnić szyję, niemniej Dayna oparła się o niego całym ciałem i pocałowała w usta. Stracił równowagę. Musiał puścić rękę Dayny i podtrzymać ją w pasie, by oboje nie upadli. Potem jednak z całej siły ją odepchnął. Dayna zatoczyła się i oparła o ścianę w holu.

- Nie ruszaj się - warknął. - I ani słowa więcej. Idę spakować rzeczy Sam, bo mam zamiar zabrać ją stąd jeszcze dziś. Nie zostanie w tym domu ani minuty dłużej, jeśli ja mam jeszcze cokolwiek w tej sprawie do powiedzenia.

Spakowanie Sam zajęło mu kilka minut. Dziewczynka była zachwycona czekającą ją zmianą.

- Czy Rusty może dziś ze mną spać?

- Oczywiście. Chodź, poszukamy Fliss i jedziemy. Nie znalazł jednak Fliss na dole. Nigel czyścił na dworze barbecue.

- Fliss? Wyjechała. - Nigel miał zdziwioną minę. - Powiedziała, że wezwano ją pilnie do szpitala, i zadzwoniła po taksówkę. Mówiła, że wiesz. Widziała cię na górze.

Ach, tak. Joe odniósł wrażenie, że jego krew zamarza. Czy Fliss widziała jego szamotaninę z Dayną? I co ta ostatnia jej powiedziała? Bo jemu nagadała samych bzdur.

- Dlaczego nie jesteś w łóżku, Sam? - zapytał Nigel, zanim jeszcze dostrzegł jej spakowaną torbę. - Czy dzieje się tu coś, o czym nie wiem?

- Sam jedzie ze mną. Tam, gdzie powinna właściwie być cały czas. - Wziął córkę na jedną rękę, drugą ręką podniósł torbę. - Już tu nie wrócimy, Nigel.

- Dlaczego? Co się stało? - pytał Nigel, idąc za nimi do samochodu.

- Porozmawiaj ze swoją żoną - poradził mu Joe.

- Co ona takiego zrobiła? Wiem, że za dużo dziś wypła. Pewnie coś powiedziała, prawda? I Fliss się obraziła?

- Można by tak rzec - odparł Joe posepnie.

- Dayna nie jest szczęśliwa - wyznał Nigel cicho. - I pewnie to częściowo moja wina. Przepraszam cię, Joe. Nie pozwól jej zniszczyć swojego związku z Fliss.

- Nie pozwolę. - Joe posadził córkę na foteliku dla dzieci. - Nie martw się, Nigel. Zaraz porozmawiam z Fliss.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie było to jednak takie proste.

Gdy do niej dzwonił, włączała się automatyczna sekretarka. Gdy do niej pojechał, dom okazał się pusty. Gdy zobaczył kartkę na drzwiach, błysnęła w nim nadzieja. Okazało się jednak, że kartkę zostawił sąsiad, zawiadamiając Fliss, że tego dnia po południu zainstalował w kurniku koguta. Charlie wyraził też nadzieję, że ów upierzony budzik okaże się pożyteczny i że będą mieli tyle kurczaków, ile zechcą. Joe nie był w nastroju, by rozważać wizję powiększania się kurzej rodziny. Zadzwoił też do szpitala, doskonale zresztą wiedząc, że ten

„pilny telefon" został przez nią wymyślony. Nie mógł czekać, aż Fliss wróci do domu, zwłaszcza że w samochodzie spało dziecko.

Potem dzwonił do niej kilkakrotnie, i za każdym razem włączała się sekretarka. Nagrywał wiadomość za wiadomością.

- Musimy porozmawiać, Fliss. Zadzwoń do mnie.

- Proszę, Fliss. Pozwól mi wyjaśnić. Zadzwoń.

- Fliss, kocham cię. Proszę, odezwij się.

Nie zadzwoniła przez całą długą noc. Następnego dnia Joe spóźnił się do pracy, bo odwoził córkę do szkoły.

- Proszę, żeby po lekcjach czekała na mnie w świetlicy - powiedział nauczycielce. - Jeśli pani Jackson tu się pojawi, proszę się ze mną skontaktować.

W szpitalu swe pierwsze kroki skierował na nagłe wypadki. Felicity stała właśnie na korytarzu i rozmawiała z Garethem. W lewej ręce trzymała zestaw do punkcji lędźwiowej. Na jej palcu Joe nie zobaczył pierścionka.

- Muszę z tobą porozmawiać, Fliss.

- Nie teraz. - Uciekła wzrokiem w bok. - Mam pilną punkcję u dziewczynki z podejrzeniem zapalenia opon.

- Mogę to za ciebie zrobić.

- Nie, Gareth, dzięki - odrzekła uprzejmie.

- Tak, „Gareth, dzięki - wtrącił Joe. Gareth uważnie zlustrował ich wzrokiem.

- To trzeci przypadek w tym tygodniu - rzekł łagodnie. - Paskudna grypa z objawami zapalenia opon.

- Jeden z tych przypadków okazał się jednak zapaleniem opon - zaprotestowała. - Nie możemy tego lekceważyć.

- Zgadzam się - odparł Gareth. - Ale zgadzam się też z Joem. To, co się między wami dzieje, to nie moja sprawa, ale widzę, że jest ważne. Skoro musicie porozmawiać, to zróbcie to teraz. - Wyjął walizeczkę z ręki Felicity.

- No dobrze. - Ruszyła w kierunku swego gabinetu. Joe poszedł za nią, odnosząc wrażenie, że wydarza się coś poza jego kontrolą. Musi to wszystko pojąć, zanim będzie za późno.

- Co się do diabła dzieje, Fliss? - spytał, zamykając drzwi. - Dlaczego nie odpowiadasz na moje telefony?

- Nie jestem gotowa do rozmowy z tobą - odrzekła, odwracając się do niego plecami.

- Fliss, na litość boską... - Ujął ją za ramiona i odwrócił do siebie twarzą. Skrzyżowała ręce na piersiach i skuliła się, jakby odczuła gwałtowny ból. - Powiedz mi - Joe nie poddawał się - co się wczoraj stało.

- Prosiłeś mnie, żebym popatrzyła na wszystko oczami Dayny. Nie musiałam się starać. Wszystko mi wygarnęła.

- Co ci wygarnęła?

- Nie chciałam w to wierzyć - wykrztusiła. - Poszczególne elementy niby do siebie pasowały, ale ja nie chciałam zobaczyć całego obrazka.

- Jakiego obrazka? - Bezwolnie mocniej zacisnął dłoń. - O czym ty mówisz?

- Wszystko by ci się udało, gdybym sobie nie przypominała pewnych rzeczy. Na przykład tego, że chciałeś o naszych zaręczynach powiedzieć Daynie w cztery oczy. I właściwie nic by się nie zmieniło, gdybym nie widziała, jak się z nią całujesz.

- Nie całowałem się z nią.

- Nie kłam. Widziałam, jak się całowaliście. Na schodach. Nawet nie była ubrana.

- Widziałas, jak Dayna całuje mnie, a nie ja ją. Właściwie próbuje... - A więc o to chodzi. Nic dziwnego, że Fliss tak się zdenerwowała. Ale on jakoś to wyjaśni.

- Słowa! - prychnęła pogardliwie. - Wiedziałam, że między wami coś jest. Wtedy, podczas tamtej pierwszej kolacji, tak na ciebie patrzyła, dotykała cię,

dobierała słowa... Jak często ona z tobą rozmawia, Joe? Więcej niż raz dziennie, i ty się na to zgadzasz.

- Dobrze. - Uznał, że musi być z nią szczery. - Podobam się Daynie. Od początku. To właśnie miałem na myśli, kiedy ci mówiłem, że próbowała stanąć między mną a Catherine. Jasno jej dałem do zrozumienia, że nie odwzajemniam jej zainteresowania, więc myślałem, że jej przeszło, ale znowu miałem z nią problem podczas wizyty w Disneylandzie. Ona i Nigel trochę się poróżnili i zaczęła pisać do mnie listy. Dlatego między innymi postanowiłem wracać. Postanowiłem zabrać od niej Sam, żeby jej nie wykorzystywała jako pretekstu do spotkań ze mną. Nic mnie z nią nie łączy. - Westchnął zrezygnowany. - Jestem jej i Nigelowi jedynie wdzięczny za pomoc z Sam.

- Ja też sporo ci pomogłam, prawda, Joe?

- Co? - Zmarszczył czoło. - Skąd ten pomysł?

- Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, wcale cię nie zainteresowałam. Nawet mi się nie przedstawiłeś.

- Miałem na głowie pewien problem, jak dobrze wiesz. - Potrząsnął głową. - To śmieszne.

- Czyżby? Myślę, że zainteresowałaś się mną dopiero wtedy, gdy zobaczyłeś, jak znakomicie sobie z nią poradziłam, kiedy złamała rękę.

- Wtedy po raz pierwszy miałem okazję z tobą porozmawiać. Próbowałem się z tobą umówić, jeśli pamiętasz. To ty się mną nie zainteresowałaś.

- Myślałam, że masz żonę. Daynę. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Ależ ja jestem głupia.

- Przecież już to sobie wyjaśniliśmy.

- Jasne. Umówiliśmy się nawet na randkę. Jeśli spotkanie w sprawie przyjęcia urodzinowego twojej córki uważać za randkę. - Teraz ona ze smutkiem potrząsnęła głową. - Czy mój dom, ogród i zwierzęta to była premia, Joe? Czy ważniejszą rzeczą było znalezienie kogoś, kto pokochałby Sam i zająłby się nią, kiedy kontakty z Dayną stały się trudne?

- Wprost nie mogę w to uwierzyć. - Patrzył na Fliss szeroko otwartymi oczami. - Co powiedziała ci Dayna, że coś takiego przyszło ci do głowy?

- Po prostu uświadomiła mi twoje plany. Chciałeś znaleźć pracę, dom i opiekunkę. Udało ci się, Joe. Tak przynajmniej sądziłeś. Całkiem fajny pakiet. Nawet go przetestowałeś. Powinno mnie trochę zastanowić twoje zadowolenie, kiedy zaproponowałam ci pomoc podczas wyjazdu Dayny do Australii. Dałeś mi cały tydzień, żebym udowodniła, jak wspaniale pasuję do twojej wizji. No i co? Dobrze się spisałam, nie? Nawet zmieniałam dyżur, żebyś ty mógł odbyć obchód.

- Nie mów takich rzeczy, Fliss. Mylisz się. Okropnie się mylisz.

Lecz ona już nie mogła przestać. Miarka się przebrała.

- A gdzie mi się oświadczyłeś, Joe? W jakimś romantycznym miejscu, kiedy byliśmy sami? Nie. W moim domu, kiedy twoja córka spała w sypialni na górze. Po tym, jak przez cały tydzień próbowałam cię przekonać, że... ty i ja mogliśmy mieć wszystko. - Jej głos zadrżał. - Tylko że ja wszystkiego bym nie miała, prawda? Ty byś zyskał pracę, dziecko i kochankę. A ja pewnie urodziłabym dziecko, musiałabym zrezygnować z pracy i wychowywać dzieci komuś, kto wcale mnie nie chce dla mnie samej.

- Sądziłem, że pokochałaś Sam.

- Tak. - Po jej policzku popłynęła łza. Joe miał ochotę przytulić Fliss, lecz wiedział, że nie wolno mu tego zrobić, dopóki nie rozwiąże tej łamigłówki.

- To nie rób jej tego. Ani mnie. Proszę, Fliss. Posłuchaj, Sam cię kocha, ja cię kocham. Sam miałaby złamane serce, gdybyś...

- To jest niewybaczalne, Joe.

- Co? - Tak rozpaczliwie pragnął wyjaśnić jej swą niewinność, że gdy go nie rozumiała, poczuł złość. Co on jeszcze może zrobić, jeśli ona nie chce go wysłuchać?

- Wykorzystywanie dziecka do zmiany mojej decyzji. To właśnie robiła Dayna, żeby utrzymać nad tobą władzę.

- Nawet mi nie mów, że wykorzystuję Sam. - Jego złość narastała. - Kocham moją córkę i kocham ciebie. Chcę być z wami obiema. Sądziłem, że ty pragniesz tego samego.

- Mnie też się tak wydawało. - Wzruszyła z rezygnacją ramionami. - A teraz nie mam pojęcia, co myśleć. Skąd mam wiedzieć, gdzie jest prawda?

- Mogłabyś postarać się uwierzyć w to, co ci mówię. - Powoli tracił nad sobą panowanie. - Na litość boską, Fliss, jak mam ci udowodnić moją miłość? Zrezygnować z pracy? Nie zgodzić się zamieszkać w domu, którego dla ciebie nie kupiłem? Wyrzec się dziecka? Czy tego chcesz?

- Ależ skąd.

- To dobrze - odparł równie lodowatym tonem - bo nie mam zamiaru tego zrobić. Dla nikogo. Być może moje potrzeby w ogóle się nie liczą. Może zachowałem się egoistycznie. Może potrzeby Sam są ważniejsze.

- Oczywiście. - Dotąd nie patrzyła na niego, teraz jednak odważnie spojrzała w jego lśniące złością oczy. - Sam potrzebuje ojca, Joe. A ty potrzebujesz pracy, miejsca do mieszkania i opiekunki. Masz już pracę, a na dom będzie cię niedługo stać. - Odwróciła się i wzięła z biurka kopertę, w której znajdował się pierścionek. - Spróbuj wynająć opiekunkę - dodała. - To jest kosztowniejsze, ale na pewno uczciwsze.

I co miał począć? Starał się patrzeć na fakty oczami Fliss, ale nie dochodził do żadnego wniosku. Nie jest łatwo prosić o wychowywanie dziecka kogoś, kto nie jest jego rodzicem. A gdyby było odwrotnie? Gdyby to Fliss miała dziecko i szukała pracy oraz domu, a on ten dom miał? Jak by się poczuł, gdyby ktoś mu uświadomił, że być może dom jest większą atrakcją niż on sam? Nie zaczęłby czegoś podejrzewać?

Pewnie tak. Wszystko to jest bardzo niesprawiedliwe, bo wątpliwości Fliss są nieuzasadnione. Kochał ją tak bardzo, że myśl o jej utracie nieznośnie go bolała. Jeśli miłość jest głęboka, wszystko da się pogodzić. Lecz jak ma jej udowodnić, że ją kocha? Chyba musiałby się wydarzyć jakiś cud.

To był najgorszy dzień jej życia. Po wydarzeniach ostatniej nocy zerwanie z Joem wydało jej się jedynym możliwym rozwiązaniem. Dostarczony przez Charliego upierzony budzik wcale nie okazał się potrzebny. Nie zmrużyła oka przez całą noc. Poranna rozmowa z Joem była wyjątkowo trudna, lecz nie mogła ryzykować i ponownie mu zaufać. Ból był rozdzierający, lecz czułaby się znacznie gorzej, gdyby poznała prawdę wiele lat po ślubie.

Dziękowała losowi za to, że mogła zająć się pracą. Dwadzieścia minut po rozmowie z Joem przywieziono na oddział ofiarę pchnięcia nożem. Felicity odetchnęła z ulgą i skoncentrowała się na ratowaniu pacjenta. Po zbadaniu okazało się, że nieprzytomny mężczyzna ma dwie rany - w klatce piersiowej i na plecach. Niezbędna okazała się konsultacja neurochirurgiczna.

Joe już po kilku minutach stwierdził, że konieczna jest natychmiastowa interwencja chirurgiczna. W czasie jego obecności Felicity znowu nie mogła się skoncentrować. Ogarnęło ją przygnębienie. Może to na szczęście jedno z ostatnich ich spotkań w tym szpitalu. Jutro ona ma wolne, a w przyszłym tygodniu Joe zaczyna pracę w Coronation. Jest mało prawdopodobne, by się tu pokazywał. Trzeba tylko jakoś wytrwać do końca dnia.

Przerwa na herbatę wcale jej nie pomogła. Colin tego dnia obchodził urodziny i przyniósł tort czekoladowy, lecz nie mogła nic przełknąć. Gdy patrzyła na swoją porcję, zauważyła, że polewa nawet fachowcom nie udała się lepiej niż niedawno jej. Poczowała bolesny ucisk w gardle. Wiedziała, że przez resztę dnia nie będzie w stanie myśleć o czekoladowym torcie, nie przypominając sobie dnia, w którym ona i Joe po raz pierwszy się kochali.

Kochali...

Przecież nie kochaliby się z taką pasją, gdyby ich miłość nie była prawdziwa. Może jednak popełniła błąd, odsądzając Joego od czci i wiary. Opuściła szybko pokój wypoczynkowy i powędrowała na oddział w nadziei, że praca pomoże jej powstrzymać nieprzyjemną galopadę myśli. Istotnie miała się

czym zająć, lecz jej czynności były czysto mechaniczne. Przechodziła szybko od jednego pacjenta do drugiego, demonstrując kliniczną kompetencję i zachowując profesjonalny dystans, które nie pozwalały jej czerpać z pracy radości. Być może teraz już nic nie będzie jej cieszyć, i powinna pogodzić się z tym faktem. Wystarczy zawodowa satysfakcja.

Pager wezwał ją na oddział urazowy. Idąc w stronę głównego biurka, minęła Joego, starając się nie rozpraszać. Colin kończył rozmowę z karetką.

- To kiedy będziecie?

- Za pięć minut. Jeszcze coś chcesz wiedzieć?

- Nie, jeśli stan pacjentki nie ulegnie zmianie. To na razie - rzekł Colin, pospiesznie coś notując.

Felicity czekała, aż Colin skończy pisać, słysząc jednocześnie, jak za jej plecami Joe rozmawia z Garethem na temat czyjegoś badania tomograficznego.

- Joe? - odezwała się pielęgniarka, mijając Felicity ze słuchawką bezprzewodową w dłoni. - Telefon do ciebie z miasta. Podobno to pilne.

- Dachowanie pędzącego samochodu na szosie do Akaroi - wyjaśnił Colin, patrząc na Felicity. - Kobieta, trzydzieści siedem lat. Wiozą ją helikopterem. Złamana kość udowa, pęknięta miednica i krwotok wewnętrzny. Dostała już dwa litry soli fizjologicznej. Skurczowe ciśnienie krwi osiemdziesiąt pięć. Ma także rany klatki piersiowej z zagrożeniem odmy opłucnowej. Będziemy potrzebować...

Przestała słuchać Colina, bo zauważyła, jak zmienia się twarz Joego. Teraz malowało się na niej przerażenie.

- Joe, co się stało?

- Sam zginęła. Dzwonili ze szkoły.

- Zawiadomili policję?

- Nie. Prosiłem, żeby z tym poczekali. Chyba wiem, gdzie ona jest.

- Gdzie?

- Dayna ją zabrała.

- Ale... - Felicity poczuła się zagubiona. Przecież Dayna zawsze zabierała Sam ze szkoły.

- Muszę jechać - oznajmił Joe i ruszył do wyjścia. Felicity dostrzegła w jego oczach strach.

- Czy mógłbyś się zająć tym przypadkiem, Gareth? - zwróciła się do kolegi.

- Oczywiście - odparł. - Biegnij na nim, Fliss. On cię potrzebuje.

- Joe? Poczekaj! Idę z tobą - zawołała.

- Nie musisz.

- Muszę. - Wytrzymała jego spojrzenie. - Muszę wiedzieć, że Sam jest bezpieczna. Tak samo jak ty.

W tej chwili przepełniała ją miłość do małej dziewczynki. Niemniej uczucia, jakie żywiła wobec Sam, były blisko związane z uczuciami do jej ojca. Pomyślała, że ich wszystkich, całą trójkę, łączy silna więź. Czy Joe to zrozumie?

- Muszę iść z tobą, Joe.

Pokiwał głową, jakby coś do niego docierało.

- Wobec tego chodź - rzekł łagodnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Odnieśli wrażenie, że parking się powiększył.

- Kiedy Dayna mogła ją zabrać? - zapytała, biegnąc za Joem, który szedł z telefonem komórkowym przy uchu.

- Nie są pewni - odparł, ponownie wybierając numer. - Nauczycielka zauważyła, że jej nie ma, kiedy dzieci pakowały się do domu. Ostatni raz widziano ją z pewnością na boisku, czyli około drugiej.

Automatycznie zerknęła na zegarek.

- A więc nie ma jej już od godziny?

- Nauczyciele są bardzo zdenerwowani. Przeszukali każdy kąt i chcą wezwać policję. - Szedł tak szybko, że ledwo za nim nadążała. - Ale ja najpierw chcę pogadać z Dayną.

W powietrzu rozległ się odgłos nadlatującego helikoptera. To pewnie ta kobieta z szosy, którą miała się zająć. Felicity potrząsnęła głową, usiłując odpędzić od siebie poczucie winy, które nie pozwalało jej skoncentrować się na sprawie Samantha.

- Przecież ktoś musiał coś widzieć.

- Najwyraźniej nie. Nawet dzieci nic nie wiedzą. Jestem pewny, że Dayna ją zabrała. To ma sens, sądząc po wczorajszych wydarzeniach. - Nie odrywając telefonu od ucha, zerknął na zbliżający się hałaśliwie helikopter.

- Dlaczego? - Próbowała stłumić uczucie paniki. Może ona sama przyczyniła się do kryzysu.

- Cholera! - warknął Joe. - Nie odpowiada. - Obrzucił ją krótkim spojrzeniem. - Wczoraj wieczorem zabrałem od nich Samanthę. Na zawsze. - Wyjął kluczyki i otworzył drzwi od strony miejsca pasażera. - Ze względu na Sam starałem się nie dopuścić do bezpośredniej konfrontacji z Dayną.

Pomyślałem, że znajdę łatwiejsze wyjście. - Spojrzeli sobie w oczy. - Takie,

które by było dobre dla nas trojga. - Oczy Joego pociemniały z bólu. Jego następne słowa nieco zagłuszył helikopter. - Ale widać, że łatwych rozwiązań nie ma.

Felicity zamknęła drzwi i zapięła pas, Joe zajął miejsce za kierownicą i powoli opuszczał parking.

- Joe? Zapnij pas.

Spojrzał na nią w sposób doceniający jej troskę o jego bezpieczeństwo. Uśmiech, jakim ją obdarzył, przekreślił jej ostatnie wątpliwości. Kocha go i wie, że on ją kocha. Ból w jego oczach nie miał nic wspólnego z Dayną ani nawet Sam, lecz z nią, Felicity. Cierpiał z powodu konfliktu między nimi, do którego w pewnym stopniu i ona się przyczyniła. Dopuszczała do tego, by złe słowa Dayny odsunęły ją od Joego, i to w chwili, gdy zabrał do siebie córkę. Przez całą noc nagrywał jej wiadomości na sekretarce, a ona je usuwała, nawet ich nie wysłuchawszy. Musi go za to przeprosić. Musi mu powiedzieć, jak bardzo go kocha, ale nie teraz.

Zbliżali się już do Port Hills. Może powinna się odezwać? Dać mu sygnał, że ta sprawa jest równie ważna dla niej, co dla niego? Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, zadzwonił telefon komórkowy.

- Tak? - Na jego twarzy pojawiło się zdumienie. - Nigel! Nie mam pojęcia... Właśnie tam jadę... Tak, wiem. Tak mi się wydawało. Dobrze, zaraz będę. Do zobaczenia.

Joe rzucił telefon i z zawrotną prędkością zaczął pokonywać ostre zakręty Cashmere Road.

- Do Nigela dzwoniono do pracy. Godzinę temu Dayna miała zabrać ze szkoły Scotta i zawieźć go na egzamin z muzyki. Nie pojawiła się i Nigel nie może się z nią skontaktować. Dzwonił nawet do szkoły Sam i stąd wie, co się stało.

- Czy on uważa, że Dayna wzięła małą?

- Mówił, że przyszło mu to do głowy. Chyba doszło między nimi do strasznej awantury, kiedy wczoraj zabrałem Sam.

- Och nie! - Felicity przygryzła wargi. Z minuty na minutę wszystko wygląda gorzej. Może Dayna porwała Sam, by odegrać się na Joem, Nigelu... no i na niej, Fliss. Być może nawet... - Nie, tego by nie zrobiła - rzekła na głos, zaskakując Joego. - Dayna nie skrzywdziłaby Sam - wyjaśniła. - Tego akurat jestem pewna.

- Nigel jedzie do domu - dodał Joe. - Tam się spotkamy. Jeśli nie zastaniemy Dayny, może znajdziemy tam jakąś wiadomość, jakieś ślady...

Kilką sekund później skręcali już na podjazd posiadłości Jacksonów. Garaż i dom były zamknięte na cztery spusty.

- Nie ma jej samochodu - oznajmił Joe, zaglądając do garażu przez małe okienko. - Sprawdźmy w domu.

Długo naciskał dzwonek, lecz nikt mu nie otwierał. Potem zaczął pięścią walić w drzwi. Był to jednak gest frustracji, a nie nadziei. Oboje wiedzieli, że dom jest pusty.

- Fliss... - Czołem oparł się o framugę. - Ja tego chyba nie wytrzymam...

- Wszystko będzie dobrze, uspokój się. - Pogładziła go po włosach. - Nie jesteś sam. Poradzimy sobie. Znajdziemy Sam i wszystko będzie dobrze.

Odwrócił się do niej i mocno ją przytulił.

- Masz rację - mruknął. - Tylko tak mi trudno nad sobą zapanować. - Przyłożył usta do jej włosów. - Dzięki Bogu, że jesteś ze mną, Fliss.

- I chcę już z tobą zostać - szepnęła, odchylając głowę do tyłu i patrząc mu w oczy.

Nie zdążył jej odpowiedzieć, bo w tej samej chwili obok nich zaparkował z chrzęstem samochód. Joe lekko uścisnął jej ramię, po czym odwrócił się w stronę Nigela.

Ten szybko otworzył drzwi, ale wewnątrz nic nie znaleźli. W całym domu panował nieskazitelny porządek, jedynie na stole kuchennym stała pusta butelka

po bourbonie oraz kryształowa szklanka ubrudzona szminką, a wokół nich wałały się mokre chusteczki higieniczne. Widok ten był lekko wstrząsający. Ciekawe, pomyślała Felicity, jak długo Dayna tu siedziała, piła i płakała?

- Kiedy ostatnio ją widziałeś, Nigel? - spytał Joe.

- Około ósmej rano.

- W jakim była nastroju? Co mówiła?

- Spała. - Nigel przeczesał palcami włosy i jęknął. - Nie chciałem jej budzić. Przegadaliśmy większość nocy i była wyczerpana. Napisałem jej na kartce, że wrócę, jak odwiozę chłopców do szkoły.

- Ale nie wróciłeś, prawda? Nigel potrząsnął głową.

- Zadzwonili do mnie z biura. Jakiś problem z przejęciem tej firmy w Australii. Musiałem się tym zająć. - Westchnął ponuro. - Może Dayna ma rację. Zrzuciła mi, że dbam bardziej o pracę niż o nią. Mówi, że tak jest, odkąd urodziły się dzieci. Powiedziała mi, że zawsze zazdrościła Catherine, a jeszcze bardziej zazdrości Fliss. Że chce być dla kogoś ważna. Sam była jedyną osobą, dla której ona coś znaczyła, a teraz nikt jej nie został.

Fliss i Joe uważnie go słuchali. Może w słowach Nigela znajdą jakąś wskazówkę?

- Co jeszcze mówiła? Przypomnij sobie, Nigel. Nigel wziął do ręki pustą szklankę.

- Przyznała, że ma problem z alkoholem i że potrzebuje pomocy. Myślałem, że się dogadaliśmy. Powiedziałem jej, że ją kocham, i że jest dla mnie ważna. A tak ciężko pracuję tylko dlatego, żeby miała to, o czym moim zdaniem zawsze marzyła. - Jego głos zadrżał. - Powiedziała, że nie dba o żadną z rzeczy, które mamy. Że chce tylko mnie. - Zerknął na Felicity. - Było jej przykro z powodu tej rozmowy w kuchni. Dzwoniła do ciebie, żeby ci powiedzieć, że to wszystko nieprawda, ale nie odbierałaś telefonu.

- Wiem. Przepraszam...

- Czy masz pojęcie, gdzie mogła pojechać, Nigel? - spytał Joe. - Dokąd mogła zabrać Sam?

Nigel potrząsnął głową.

- Spróbujmy jeszcze raz zadzwonić - zasugerował bez przekonania. - Jeśli nie odpowie, będziemy musieli chyba poprosić o pomoc policję.

Gdy Nigel wystukał numer telefonu Dayny, odezwał się różowy aparat leżący na parapecie nad zlewem. Ze wszystkich ust wyrwał się jęk zawodu. Nigel wyłączył swój telefon, lecz dzwonienie nie ustawało. Gdy stało się głośniejsze, uświadomili sobie, że ktoś dobija się do drzwi.

W progu stali dwa policjanci. Felicity spojrzała na Joego zaskoczona.

- Kiedy zadzwoniłeś na policję?

- Nie dzwoniłem.

- Ja też nie.

- Czy pan Nigel Jackson? - odezwał się policjant.

- Tak. - Nigel skinął głową. - Co się stało?

- Czy jest pan rodziną pani Dayny Jackson?

- Tak. Jestem jej mężem. - Nigel zbladł. - Na litość boską, co się stało?

Gdzie ona jest?

- Bardzo mi przykro, panie Jackson, ale pańska żona miała wypadek samochodowy.

Twarz Nigela zmartwiała. Otworzył usta, lecz nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

- A gdzie jest Sam? - zapytał Joe.

- Sam? Kto to jest? - Policjant zamrugnął powiekami,

- Moja córka. Samantha. Była w samochodzie z Dayną Jackson. Czy jest ranna?

Policjant potrząsnął głową.

- Pani Jackson była w samochodzie sama.

- Jest pan pewien?

- Są świadkowie. Wypadek był na pustej szosie. Dziecko nie miałyby gdzie pójść.

Drugi z policjantów nie spuszczał oczu z Joego.

- Czy córka zginęła, proszę pana?

- Tak, ze szkoły. Prawie półtorej godziny temu. Myśleliśmy, że ciotka ją zabrała.

- Pani Jackson jest ciotką córki? - Policjanci wymienili spojrzenia.

Felicity analizowała informacje policjantów. Na jej oddział nieczęsto trafiały ofiary wypadków na szosie.

- Czy ten wypadek był na drodze do Akaroi? - spytała.

- Skąd pani wie? - Policjant uniósł brwi.

- Helikopter - wtrącił Joe. - To Dayna w nim była.

- Kobieta w wieku trzydziestu siedmiu lat. - Felicity przypomniała sobie słowa Colina. - Złamana kość udowa, uraz miednicy i klatki piersiowej. - Zwróciła się do Nigela.

- Musisz jechać do szpitala. Ona cię potrzebuje.

- Myślałem, że nie żyje - wykrztusił Nigel.

- Jest w dobrych rękach, Nigel.

- Zawieziemy pana, panie Jackson - rzekł policjant.

- Chwileczkę. - Joe powstrzymał Nigela. - Co Dayna mogła robić na drodze do Akaroi?

- Podobno jest tam ośrodek leczenia uzależnień. Rozmawialiśmy o tym wczoraj w nocy. Może sama postanowiła tam pojechać. O mój Boże! - Nigel potarł czoło. - Dużo ostatnio piła. Czy jeszcze ktoś został ranny w tym wypadku?

- Nie. Zjechała z drogi, uderzyła w płot i przekoziółkowała. Poza nią nikomu nic się nie stało.

- Dzięki Bogu i za to.

- A co z pana córką? - Policjant zwrócił się do Joego.

- Czy domyśla się pan, gdzie może być?
 - Nie mam pojęcia - wykrztusił Joe. - Byłem pewien, że jest z ciotką.
 - Ile córka ma lat?
 - Tylko pięć - odparła Felicity przygnębiona.
 - To może sama poszła do domu?
 - Nie. - Joe pokręcił głową. - Szkoła jest bardzo daleko. Nigdy nie wracała do domu piechotą.
 - Raz wracała - wtrąciła Felicity. - Kiedy spała u mnie.
 - Czy ma jakieś koleżanki ze szkoły? Może poszła się z kimś bawić.
- Joe i Felicity spojrzeli po sobie.
- Rusty - szepnęła.
 - Blackie - dodał Joe.
 - Sam poszła do domu - powiedzieli razem, patrząc sobie w oczy.
 - Oczywiście. - Felicity zwróciła się do policjantów. - Dom jest pięć minut od szkoły i Sam zna drogę.
 - Ale teraz może jej tam już nie być - rzekł Joe posepnie. - Przecież ze szkoły wyszła tak dawno...
 - Chodźmy sprawdzić.

Joe jechał przez miasto jak szalony. Policjanci obiecali, że jeśli nie znajdą Samantha w domu, rozpoczną się oficjalne poszukiwania. Podczas jazdy Felicity zadzwoniła w kilka miejsc. Okazało się, że w szkole ciągle ktoś jest, na wypadek, gdyby Sam tam wróciła. Charlie Begg i jego wnuczka obiecali przejść się drogą ze szkoły do domu i pytać mieszkańców, czy nie widzieli małej dziewczynki. W końcu Felicity zadzwoniła do szpitala.

- Gareth mówi, że Dayna z tego wyjdzie - poinformowała Joego. - Za chwilę będą ją operować, ale jest stabilna.

- Sama operacja na pewno nie wystarczy - zauważył Joe ze smutkiem. - Ona ma wielki problem.

- Ale przynajmniej o nim wie - odrzekła. - A skoro Nigel chce jej pomóc, to sobie z tym poradzą.

Joe tylko pokiwał głową, bo właśnie skręcał w podjazd do domu Felicity. Rosły tam stare dęby, które teraz rzucały cień na trawniki. O czwartej po południu słońce straciło już swój silny blask i teraz jego ciepłe promienie wydobywały barwy kwitnących wiosennych kwiatów. Ogrody były pełne błękitnego kwiecica orlików i niezapominajek. Werandę zdobiła kwitnąca wistaria. W cieniu drzew owocowych drzemał tłusty czarny kuc.

Dom i ogród nigdy nie wyglądały pięknie.

I wszystko byłoby doskonale, gdyby pogodzili się z sobą ludzie mający tu zamieszkać. Gdy Joe parkował samochód, Felicity była pewna, że znajdą tutaj Samanthę. Zawsze, gdy wracała do domu, Rusty czekał na nią na schodkach werandy. Dziś schodki były puste.

Wysiadła z auta i gwizdnęła, a potem zawołała psa. Blackie ze znużeniem uniósł łeb, poza tym wokół panowała cisza.

- Ona musi tu być - rzekł z rozpaczą Joe.

- Ona tu jest. - Wzięła go za rękę. - Popatrz, nie ma kur. One znikają z ogrodu tylko wtedy, kiedy ktoś je karmi.

- Poszła do kurnika? - W oczach Joego zabłysła nadzieja. - Pewnie szuka jajek.

Trzymając się za ręce, pobiegli przez ogród. Nieopodał kurnika zwolnili, ignorując złe spojrzenie koguta, który niewątpliwie uważał się za władcę tego miejsca. Ich nadejście obserwował też Rusty, który spokojnie leżał przy drzwiach do kurnika. Pies powitał ich machaniem ogona, nie ruszył się jednak z miejsca. Felicity zerknęła na Joego.

- On tu jest na straży. I chyba wiem dlaczego...

Kury wyraźnie czekały, by je ktoś nakarmił. Ich gdakanie nie wywołało jednak oczekiwanego efektu. Potencjalna karmicielka spała słodko w kącie domku, skulona na wiązce słomy, tuląc do siebie zniszczonego białego pieska.

Felicity i Joe nie byli w stanie się poruszyć. Przytulili się do siebie, ocierając łzy ulgi i wzruszenia. Czuli, że łącząca ich więź jest tak silna, że już nikt nigdy ich nie rozdzieli.

Kury tymczasem coraz głośniejszy wyrażały swe niezadowolenie ze spóźniającego się posiłku. Do ich protestu dołączył kogut, nadymając się i piejąc co sił w płucach. Ten dźwięk musiał obudzić Samanthę.

- Tatusi! - Jej uśmiech był zaraźliwy, Joe jednak jeszcze nie otrząsnął się z napięcia i minę miał poważną.

- Sam, szukaliśmy cię. Nie wolno ci samej wychodzić ze szkoły.

- Ale ja poszłam szukać mamusi. - Samantha zostawiła pieska w słomie i zarzuciła ojcu ręce na szyję. - Ty wczoraj jej szukałeś i nie znalazłeś.

- Już znalazłem. - Ponad ramieniem córki Joe spojrzął w oczy Fliss. - I więcej jej nie zgubię. Obiecuję.

- Ale i tak nie byłam sama - paplała dziewczynka radośnie. - Rusty był w domu. Czekał na mnie.

- Owszem - przyznała Felicity, zbliżając się do wyciągniętych rączek małej - ale następnym razem poczekaj, aż któreś z nas po ciebie przyjdzie.

Lepiej żebyś nie była sama w domu.

- Dobrze - zgodziła się dziewczynka, po czym buzia jej posmutniała. - Muszę teraz wrócić do szkoły, tak, tatusiu?

Joe przytulił do siebie Sam i narzeczoną.

- Nie. Teraz nigdzie nie pójdziemy.

- Wróciliśmy do domu - dodała Felicity - i tu zostaniemy. - Ucałowała złociste włosy dziecka. - Teraz już na zawsze.

- Na zawsze - potwierdził Joe, patrząc z miłością na córkę i na narzeczoną.